



PISMO TYGODNIOWE ILUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie:

We wszystkich księgarniach i kantorach pism periodycznych po cenie rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5, rocznie rs. 10.

Wydawca **MICHAŁ GLÜCKSBERG**

EKSPEDYCJA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Włodzimierska Nr. 4.

W Cesarstwie Austriackim we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80.

W Krakowie: u D. E. Friedleina; kwartal. flor. 2 cent. 75 na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebera i Spół. kwartal. 5 marek.

Juliusz Słowacki.

W 50-tą rocznicę śmierci.

„Przyszłość moja!...“

Takim pięknym, dumnym, przecuciowym okrzykiem odpowiadał Słowacki w epoce rozkwitu swego geniuszu na ludzką obojętność, chłód, zazdrość, oschłość, z jaką przyjmowano jego płomienne dzieła. Przyszłość moja! wołał do: „słuchaczów głuchych albo umarłych,“ kiedy mu zaprzeczano należnego mu miejsca, raniono płytkością sądów, odwracano się niechętnie od jaskrawej, dramatycznej łuny, jaką zapalał w cudnym swem natchnieniu nad szarością codziennych spraw ludzkich, nad nędzą „robaków“ i tego stworzenia co pełza; on, który czuł w sobie „szumny lot olbrzymich ptaków,“ przelatywał do czasu swą z tryumfalną pewnością:

— Przyszłość moja!...

I nie omylił się w przecuciu.

Od chwili gdy świetna głowa Słowackiego pochylała się w ten cichy, taki skromny, taki „nieplakany“ grób na obcej ziemi, mija pół wieku, a czas ten stał się ciąglem, coraz szybszem, serdeczniejszym, pełniejszym wchłanianiem ducha jego w umysł społeczeństwa; i dziś, twórca „Lilli Wenedy“ zrosł się z narodem swoim jak bracia legendowi Lelum i Polelum i to, czego nigdy nie zaznał w życiu — entuzjastyczne uwielbienie ogółu, jest dziś — coraz trwalszym jego udziałem. Ma tę „przyszłość,“ którą sobie wróżył, sprawdziły się własne jego słowa: że sława to piękna rzecz, warto na nią pracować. Przez te lat pięć-

dziesiąt, które nad oddaloną mogiłą wieszczą zbiegły, w kraju mnożyły się wydania dzieł jego, wydano prace pośmiertne, liczne biografie, całe dzieła o nim napisano, rozsypały się jego arcydzieła w niezliczonych ilościach egzemplarzy i bardzo wykwintnie ilustrowanych i także niesłychanie tanich, przystępnych dla tłumu czytelników, którzy dziś nie są dla Słowackiego ani głusi, ani umarli, lecz umieją go cenić, rozumieć i kochać. Wielkiego jednak trzeba było hartu ducha, wielkiej i dobrej woli, ogromnej niezłomności natchnienia i zaparcia się siebie, aby tak przechodzić boleśnie przez życie jak Słowacki, nieledwie że zawsze osamotnionym, niezrozumianym a sądzonym opacznie, błędnie lub z uprzedzeniem dziwnym dla nas dziś do wyrozumowania. A pomimo to, poeta nie zniechęcił się wcale, nie rozgoryczał się tak jak dzisiejsi pięcy młodzieńcy, oskarżający całą ludzkość za to, że tam jakiś tomik liryczny nie od razu na piedestale ustawiono; nie, Słowacki wybuchał często ironią, dumą, wzgardą szlachetną, ale nie za swoje poezje niezrozumiane, lecz za objawy zbroczeń ducha, zamarcia idei, poziomu uczuć ludzkich, dodając nawet wtedy, że — jeśli sztydź i „gryzie, to sercem gryzie.“ A ta wspaniała дума, którą nosił na czole, ta jedyna towarzysząca jego nieuznanej sławy, jakaż ona piękna, pełna godności i powagi i poczucia własnej odpowiedzialnej mocy, która nie dała mu się nigdy ani poniżyć jako człowiekowi, ani uleść jakiegokolwiek popularnej modzie pisania dla tłumów jako poecie. Ten — człowiek od życia, od ludzi wziął dla siebie tak mało, a dał z siebie tak wiele, że istotnie przeszedł przez ziemię jak „duch co odlata,“ nie wzięwszy ani szczęścia, ani dobrobytu, ani spokoju, ani uznania, ani sprawiedliwości współczesnych, ani nawet nie mając pogrzebu, jaki mu się wśród tak licznych grona rodaków, jacy podówczas zamieszkiwali w Paryżu należał. Umarł cicho, dnia 3 Kwietnia o 4-ej po południu w to-

rek 1849 r., w dzień wiosenny, „kiedy paki otwierały się na drzewach“ i cały przepych wiosny zaczynał się wydierać na powierzchnię ziemi, oblanej falą słonecznego ciepła. Po przyjęciu śś. Sakramentów, do których jeszcze wstał z łóżka i przyjmował je klęcząc w pokorze, czekał na śmierć ze słodyczą męczennika, z wiarą wyznawcy, z jakąś dziewiczą pogodą, z wrażliwością wieszczą czującego, z „weselem ostatecznym ducha“ zbliżającą się ku niemu wieczność „nowej wiosny, i dnia pełnego, w którym znów podniesie czoło i rozjaśni się nową radością.“ Miał przy sobie tylko przyjaciela z lat dawnych Szczęsnego Felickiego (późniejszego arcybiskupa) i młodego malarza Karola Petinaud Dubos Francuza, którzy go nie odstąpili do końca i zajęli się ostatnią posługą chrześcijańską, Kolonia polska w Paryżu uwiadomiona została o śmierci wielkiego Twórcy „Balladyny“ następującem zaproszeniem:

„Uprasza się Szanownych Rodaków, aby raczyli oddać chrześcijańską posługę Juliuszowi Słowackiemu, zmarłemu w Paryżu dnia 3 Kwietnia. Zgromadzenie będzie miało miejsce w mieszkaniu zmarłego przy ulicy Ponthieu, N. 30, dnia 5 Kwietnia o godzinie 11-ej z rana. Nabożeństwo pogrzebowe odbędzie się w kościele Saint-Philippe du Roule, o godzinie 12-ej, z kądem zwłoki odprowadzone zostaną na cmentarz Montmartre.“

Na to zaproszenie przybyła garsteczka niegłosnych, nieznanych ludzi tylko, aby pożegnać wieszczą, który gorącym słowem swoim przemawiał do milionów słuchaczy, a przecież w Paryżu wtedy mieszkał Mickiewicz, hotel Lambert był pełen inteligencji polskiej, a Polaków były w mieście tysiące! I ten bogacz myśli, ten Król-Duch, który tak ogniście wyśpiewał owego Hera Armeńskiego, leżącego na stosie wśród „ciągłego grzmotu, a zbroja na nim była złota,“ ten poeta, który miał „Królestwo myśli w aniołów krainie,“ jechał oto teraz na *najskromniejszym* ka-

rawanie *dziewiętej* klasy, w biednej trumnie drewnianej, pomalowanej na czarno, z malowanym białym krzyżykiem, jak jaki lirnik wioskowy, a za trumną siedł tylko Szczęsny Feliński i Francuz Petiniaud i kilkanaście obojętnych osób. Niezabalsamowaniem zostało ciało poety, który mocą swego natchnienia, przecuciem przeszłości umiał ożywiać mumie prastarych dziejów, wskrzeszać dawnych ludzi, i w przędzy legendowej, w pajęczynie baśni rozmotać czarodziejskie piękno, poezję i prawdę historyczną; a nad grobem Tego Mistrza słowa nie było mowy żadnej, „bo nie było ani komu, ani do kogo przemawiać,“ pisze z rozżaleniem w swym liście arcybiskup Feliński.

Na grobie staraniem serdecznego Petiniauda stanął skromny pomnik, złożony z odłamku skały i krzyża owiniętego bluszczem, ale wzgórek z drobnego ułożony kamienia rozsypał się wkrótce, a o mogile wieszczą myśleć dalej nie było komu. I tak spoczywa od pół wieku wielki geniusz poetyczny, jeden z mistrzów naszej literatury, jeden z największych i najszlachetniejszych umysłów pierwszej połowy tego stulecia. Dzieła jego przeniosły się na swych skrzydłach oddawna do kraju, rozsiały się jak zboże, wyrosły jak lasy, rozsypały jak gwiazdy i mają do dziś już „ten największy czar—wędrówność pieśni,“ wędrują między ludźmi, wędrują coraz częściej, liczniej, gromadniej, przyjmowane i na ducha wyżynach i w rozkwitających sercach młodości i w chacie ludu biednego, którego był jednym z pierwszych wymownych trybunów.

Stanowisko wieszczą coraz jaśniej zarysowywało się na wyżynach literatury naszej i jako wieszczą i jako myśliciela społeczno-filozoficznego i jako człowieka, który umiał pogodzić w sobie najwyższe uniesienie geniuszu, z codzienną, szlachetną, nieugiętą godnością człowieka.

Po latach pięćdziesięciu, gdyby dziś stanął wśród nas, z gorącym uczuciem zawołałby wzruszony: — Przyszłość moja!

Szczęśna.

Juliusz Słowacki.

Smutno mi, Boże!

Smutno mi Boże! dla mnie na zachodzie
Rozlałeś tęczę blasków promienistą;
Przedemną gasisz w lazurowej wodzie
Gwiazdę ognistą...
Choć mi tak niebo Ty złocisz i morze,
Smutno mi, Boże!

Jak puste kłosa z podniesioną głową,
Staje, rozkoszy próżen i dosytu;
Dla obcych ludzi mam twarz jednakową:
Ciszę błękitu.
Ale przed Tobą głąb serca otworzę!
Smutno mi, Boże!

Jako na matki odejście się żali
Mała dziecina, tak ja, płaczu bliski,
Patrząc na słońce, co mi rzuca z fali
Ostatnie błyski,
Choć wiem, że jutro błysnie nowe zorze,
Smutno mi, Boże!

Dzisiaj, na wielkim morzu obłąkany,
Sto mil od brzegu i sto mil przed brzegiem,
Spotkałem lotne w powietrzu bociany
Długim szeregim;
Żem je siedł kiedyś na polskim ugorze,
Smutno mi, Boże!

Żem często dumal nad mogiłą ludzi,
Żem nie znał prawie rodzinnego domu,
Żem był jak pielgrzym, co się w drodze trudzi
Przy blaskach gromu,
Że nie wiem gdzie się w mogiłę położę,
Smutno mi, Boże!

Ty będziesz widział moje białe kości,
W straż nie oddane kolumnowym czołom;
Alem jest jako człowiek, co zazdrości
Mogil—popiołem...

Więc, że nieznane gotujesz mi łożę,
Smutno mi, Boże!

Kazano w kraju niewinnej dziecinie
Modlić się za mnie codziennie, a ja przecie
Wiem, że mój okręt nie do kraju płynie,
Płynąc po świecie...

Więc, że modlitwa dziecka nic nie może,
Smutno mi, Boże!

Na tęczę blasków, którą tak ogromnie
Anieli Twoi w niebie rozpostarli,
Nowi gdzieś ludzie w sto lat będą po mnie
Patrzący marli...

Nim się przed moją nicością ukorzę,
Smutno mi, Boże!

Ostatni list J. Słowackiego.

Uwaga. Bardzo krótko przed śmiercią swoją, bo na dni kilka, napisał Słowacki list, który był ostatnim jego słowem pisanem na ziemi, a nosi na sobie cechy jego wielkiego serca i prześliznionego pióra. List ten był, wedle dawniejszych domysłów, pisany do pani Dunin-Wasowiczowej, wedle nowszych wieści, do pani Sobańskiej. List ma tylko datę: Piątek. Zapewne będzie to Piątek dnia 16 lub 23 Marca 1849 r. Poeta umarł 3 Kwietnia t. r. we wtorek.

d. Piątek.

Pani! Bardzo i bardzo źle z moim zdrowiem. Jeżeli wyszedłem kilka razy, to wistocie tak, jak upiór, zdolny tylko szklane rzucać wejrzenia na to słońce, które wkrótce przestanie świecić memu snowi. Przechodząc koło progów Pani, jakaś niemoc i zarazem smutek nieprzewyciężony odwrócił w inną stronę kroki moje, — wejść nie mogłem — na serce się moje klnę — że nie mogłem. A jednak niech mi Pani wierzy, że z prawdziwym rozrównieniem myślę o tej dobroci, która i teraz tak troskliwie dopomina się o tę część smutku, którą wiem, iżby wzięła na siebie, gdyby mi tem ulżyć mogła.

Ale wszystko próżno, Pani droga! Przynajmniej w tych dniach takie jest przeświadczenie moje. Gorączki mnie trawia, bicie serca powiększa się ciągle, a wewnętrzne uczucie osłabienia już mi bardzo mało nadziei zostawia. Proszę więc Pani o modlitwę i myśl dobrą, którąby wspólnie łącząc się z moją myślą, pomagała mi w tem weselu ostatecznym ducha, który półseny widzi paki, otwierające się na drzewach i coraz głębiej zasypia aż do nowej wiosny i dnia pełnego, w którym znów podniesie czoło i rozjaśni się nową radością.

Żegnam Panią i obiecuję przyjść, jeżeli Bóg jeszcze pozwoli.

Wierny sługa
Juliusz Słowacki.

Piotr Chmielowski.

Nasza krytyka literacka

W WIEKU XIX-ym.

VI.

Pierwsze wystąpienie Maurycego Mochnackiego.

W czerwcu r. 1825 zaczęło wychodzić w Warszawie nowe czasopismo literacko-naukowe p. t. „Dziennik Warszawski.“ Jednym z założycieli i współredaktorów był 21-letni *Maurycy Mochnacki* (1804 † 1834). Pomimo młodego wieku, przebył on już ciężką szkołę doświadczenia. Rodem z Galicyi, prywatnym kształceniem się zdobył sobie wiedzę wymaganą w najwyższej gimnazjalnej szkole, poczem wszedł do uniwersytetu. Umysł miał zapalny, ognisty, fantazję żywą i przemagającą inne potęgi duchowe. Znał dobrze łacinę i niemiecki. Pisał jędrnie, dobitnie, obrazowo. Zaznajomiwszy się z poezją i z filozofią niemiecką, przejął od mistrzów romantyzmu niemieckiego braci Schległów główne swoje pojęcia estetyczne, ale nie powtarzał ich niewolniczo, umiając wywodom swoim nadać barwę własną. Jako młody a gorący, łatwo ulegał wrażeniom i łatwo przemieniał a przynajmniej modyfikował swoje poglądy; dla tego historycznie tylko można je przedstawić. W pierwszym artykule swoim, drukowanym w lipcowym zeszytu „Dziennika Warszawskiego“ w r. 1825, myśli jego jakkolwiek wyrażone jasno, a nawet świetnie, były jeszcze bardzo niepewne i nietrwale. Artykuł ten ma napis: „O duchu i źródłach poezyi w Polsce.“ Dokonał w nim Mochnacki tego, czego się Brodziński najbardziej dla literatury naszej obawiał, to jest związku twórczości poetyckiej z zaciekami metafizycznymi, wyznawał bowiem przekonanie, że „rozumowaniu, teorii i krytyce większą część narodów Europy winna jest lepszy kierunek, wydatniej odciennowany charakter; a poniekąd i utwór nowożytniej literatury; że „metafizyczne pomysły“ odkryły sąsiedzkim narodom „źródło odwiecznych prawd w poezyi i w sztuce.“

Zastosowując te „metafizyczne pomysły“ do określenia poezyi i jej zadania, doszedł do przekonania, że nie zwykłe powszednie zjawiska mogą być żywiołem duszy poetyckiej, lecz tylko natchnienia, świat idealny, kraina cudów i złudzeń i to eteryczne dążenie, w którym indywidualność poety stopniami niknie i stopniami jednoczy się z wszechogromem. „A ztąd wypływa, że „tylko te polski geniuszu, ten wylew myśli, to wezbranie uczuć, ten uroczysty ton, którym coraz wyższe, coraz wspanialsze, coraz mocniejsze uniesienia duszy do najwyższego jej działalności kresu malujemy, jest prawdziwą poezją.“ Czyli innemi słowy prawdziwą poezją jest ta, „która wypływając z uczuć nieskończoności, nadaje zmysłową, dotykającą barwę wewnętrznym spirytualnym zjawiskom; idealny porządek przeistacza na materyalny i tłómacząc bliższe powinowactwo umysłu na przyrodzenie, jeżeli nie rozwiązuje, to przynajmniej czyni mniej zawilgą i wątpliwą najwyższą bytu zagadkę; nie tylko nie wynika ze stosunków towarzyskich, lecz owszem, uważana historycznie, poprzedza ich wykształcenie; dla tego żyje w świecie pamiętek, w dziedzinie zniklami wieków lub w przeszłości, umajonej kwiatami twórczej imaginacyi, albo raczej żyje w myśli i w tęsknocie.“

Utożsamiając w ten sposób poezję z metafizyką, dziwnym trochę skokiem logicznym, Mochnacki przechodzi do twierdzenia, że poezya z tego stanowiska uważana jest „niezaprzeczoną utworem romantyczności czyli zasad chrześcijaństwa, połączonych z duchem rycerstwa, uczuciami honoru i szacunkiem dla płci pięknej.“

Nazwałem to przejście skokiem logicznym, bo chyba każdy spostrzeże, iż od nieskończoności, którą miała wyrażać poezja, do ducha rycerstwa i kultu dam jest trochę zadaleko, że krytyk zakreśliwszy koło natchnień bardzo dużym, nieskończonym promieniem, zwęził je następnie nadmiernie. Ale ten skok był mu potrzebny do dalszych wywodów, gdzie chciał wykazać, iż poezja polska z trzech źródeł czerpać może i powinna, a mianowicie: ze starożytności słowiańskiej, z mitologii północnej i z ducha wieków średnich.

Pierwsze z tych źródeł—starożytność słowiańska, w której mieściły się już pieśni i podania ludu,—była wtedy powszechnie już uznana, a przez Brodzińskiego stale uprawiana przez wydawanie przekładów z zabytków twórczości ludów słowiańskich. Mochnacki nie tyle przeciw kładzie nacisku na znaczenie poezji ludowej dla twórczości artystycznej ile raczej na jej doniosłość w wykształceniu samego ludu, powiada bowiem: „Poezja gminu więcej może od ustaw i instytucyj naukowych przyczyniłaby się do wydoskonalenia mowy i wykształcenia uczuć ludu wiejskiego, a tem samem zachowałyby nieskażone obyczaje tej najliczniejszej i najużyteczniejszej klasy towarzystwa... Wystawmy sobie wiejskie uroczystości połączone ze śpiewami, które długo brzmiały w ustach prostoty, a którym terazniejszy polor języka dodaje nowego uroku i wdzięków. Tenże sam, który prawidła wiary i moralności wpaja w umysły, mógłby powierzyć pamięci ludu, tłumem niepotrzebnych lub szkodliwych wiadomości nieobciążonej, tajemnicę najwyższych piękności w poezji. Instytucja ta stałaby się najpomyślniejszą. Pamiętka przeszłości, opiewane wieszczym rymem, usposobiły wiejską młodzież do cnót w każdym rodzaju; a jeżeli to prawda, że uczucia są wstępem do myśli, więc poezja ludu, wpływając na obyczaje i charakter prostoty, roziskrzyłaby w siedliskach wiejskich pochodnię cywilizacji, od tyłu wieków zagrzebanej w pomroce niewiedomości.“

Nad tematami, jakich starożytność słowiańska mogłaby dostarczyć poezji polskiej, krótko się zastanawia Mochnacki, poświęcając przeważną część swojej pracy rozpatrzeniu bogactwa pomysłów, jakie z mitologii skandynawskiej i z ducha wieków wziąć będzie można.

Zkąd Mochnackiemu mogła przyjść na myśl mitologia skandynawska, jako jedno ze źródeł poezji polskiej? myśl, która nam się tak dziwną wydaje? Oto, na początku wieku naszego Czacki starał się wykazać w prawodawstwie naszym i w niektórych zwyczajach ślady wpływu Normandów. A że w poezji romantycznej niemieckiej budziły się także wspomnienia skandynawskie i ponieważ zdaniem Schlegla, poezja bez mitologii obejść się nie może, Mochnacki pochwycił wątlą niteczkę przez Czackiego ukazaną i doradzał „przedłużyć wątek poezji słowiańskiej i plon z ojczystych pamiętek zebrany pomnożyć smętnymi podaniami północy.“ Myśl ta oczywiście nie przyjęła się wcale w poezji naszej i została jeno śladem młodocianych niedowarzonych poglądów Mochnackiego, który je niebawem sam porzucił.

„Najpiękniejszym żywiołem poezji romantycznej są ówczesnym zdaniem naszego krytyka, wieki średnie, jako „czasy osobistego męstwa, dzieł rycerskich, idealnej miłości i religijnego zapału.“ Pomijając złudzenie, powszechne wówczas wśród młodych romantyków, co do zalet wieków średnich, muszę zauważyć, że Mochnacki, nie bacząc na słuszne, a wielokrotnie powtarzane przez Brodzińskiego przypomnienie, iż nasze wieki średnie stanowią się różnią od tej epoki na Zachodzie, iż nasze rycerstwo nadzwyczaj mało przedstawia wspólności z rycerstwem zachodnim, przenosił dowolnie rysy znamienne innego ustroju społecznego na grunt polski i kazał poetom opiewać rzeczy u nas nieistniejące.

Jak mógł umysł bądź co bądź jasny i dzielny, pomimo przewagi fantazji, popaść na takie bezdroże? W odpowiedzi na to pytanie, można dwie przytoczyć okoliczności. Najprzód, Mochnacki zgodnie z romantykami niemieckimi utrzymywał, że „udziałem sztuki nie jest rzeczywistość,“

że zatem i poeta może zupełnie swobodnie tworzyć sobie krainy idealne, odpowiadające jego uczuciu, będącemu „niedocieczoną zagadką.“ Powtóre, ażeby oderwać od naśladowania francuzczyzny, Mochnacki wołał raczej, iżby Polacy naśladowali Niemców. Utrzymywał on wprawdzie, że poezja każdego narodu powinna być oryginalną, ale w ostateczności zgadzał się na to, że w braku oryginalności lepiej jest naśladować to, co się bardziej zbliża do wymarzonej krainy idealnej, niż to, co było odbiciem życia powszedniego, konwencyonalnego. Oto własne jego w tym względzie słowa: „Dopóki pod imieniem stronników klasycyzmu będziemy tłómaczyć lub naśladować dzieła francuzkich mistrzów i nie uwolnimy się od szkodliwego wpływu ich języka i literatury; dopóki idąc za zdaniem mniemanych klasyków, to wszystko za niewczesny plód poczwarny imaginacji poczytywać będziemy, co nosi niezaprzeczone piętno geniuszu, dzikich lub przerażających piękności, dopóty nie będziemy mieli oryginalnej poezji i narodowej literatury. Jeżeli już powołaniem naszym jest we wszystkim unikać oryginalności, dla czegoż nie mamy raczej naśladować naszych sąsiadów Germanów w poezji romantycznej, która wzgardzona na dworze Fryderyka W., wracając do mglistych dolin, połączyła swój głos z głosem wietrznej harmonii, z wiejskiego zacisza przebiegła krainę pamiętek, a utworzywszy dla siebie ojczyznę w myśli, naksztalt cieni Ossyana wzniosła się pod obłoki?“

Nie był to niewątpliwie zwrot szczęśliwy, podawał bowiem broń przeciwnikom, iż chodziło tu jedynie o zmianę wzoru do kalkowania, grunt atoli myśli był słuszny; Mochnackiego i młodzież gorącą nie zadawały marzenia Brodzińskiego o cichej, idyllicznej poezji; pragnęli oni rozszerzenia widnokręgu i pogłębienia uczuć, biorąc sobie za przykład poetów niemieckich; nie umieli jeno wypowiedzieć tego natchnienia. Sam Mochnacki nie umiał sobie przez lat parę zdać dokładnej sprawy z charakteru, jaki przybrać miała poezja polska i wojował raczej frazesami, aniżeli myślami. W drugiej rozprawie swojej, również z roku 1825 pochodzącej, a wymierzonej przeciwko piśmie Jana Śniadeckiego o klasycyzmie i romantyzmie, rozwijając myśl: że udziałem poezji nie jest rzeczywistość, za główne wady literatury naszej od drugiej połowy XVIII stulecia uznał „świątokradki związek poezji z duchem wieku, powinowactwo uczucia i imaginacji ze stosunkami towarzyskimi, zależność natchnień i twórczego zapału od pospolitego rozsądku i zbyt prozaicznej rzeczywistości, jednem słowem brak idealnej cechy, wydatnego kolorytu i umysłowego wzoru, obok niezaprzeczonej wyższości pod względem mechanizmu, rymowanej dykcji i czystości języka.“ Chwilę zaś bezpośrednio poprzedzającą wystąpienie Mickiewicza tak odmalował. „Nie było żadnej potrzeby uskarżać się na zbytnią obfitość piszących, uśmierzać wybujałą ich imaginację i obawiać się wezbrania rzeki, której wody, pożyczone ze źródła na wpół już osuszonego, nie płynęły, lecz sączyły się spokojnie, bez szumu, wzburzenia się i fali, odwilżając zaledwie poziome łożysko. W literaturze ojczystej panowała cisza podobna do owej, jaką stworzyła niegdyś polityka Filipa II. Grobrowe milczenie zaległo obszerną krainę uczucia i imaginacji; wszystko było mierne, wyczerpane, pożyczone, jałowe i czerce. Pamiętne cnoty i klęski publiczne, nieuczczone i błakające się cienie kolosalnej przeszłości, tyle olbrzymich wspomnień, tyle łez uronionych, czyliż nie wzywały natchnionej lutni i narodowej literatury? Wątlą zaś tkanina, twórczym duchem nieożywionego, a Sylfami, Faunami, Amorkami, Kupidynkami i nadwiślańskimi Nimfami podsycanego szału odlewania wierszy (za pomocą „Sztuki rymotwórczej“ księdza Dmochowskiego), które, *credat posteritas* *) nazwana poezja klasyczna, czyliż mogła uczynić zadosyć tej ważnej potrzeby? Nie, zaiste, i ten był główny powód do rewolucji w smaku, ta pierwsza przyczyna, że mło-

dzież nasza, porzuciwszy drogę martwego naśladownictwa, zaczęła większe znajdować upodobanie w poezji romantycznej, tłómaczów tragedji i komedji nadsekwańskich mniej cenić, nakoniec wysmiewać stronników francuzczyzny i lekkiego dowcipu.“

Po wydrukowaniu dwu ciągów tej niedokończonych rozprawy, Mochnacki milczał przez półtora roku; ozwał się dopiero w 1827 r., pisząc w nowym organie romantyków naszych, w „Gazecie Polskiej“ szumny a mętny artykuł o Sonetach Mickiewicza, gdzie wyróżniwszy wierszopisów od poetów, utrzymywał między innymi, że „poeta wyrzeka się samego siebie, o istniejącem pokoleniu, o jego języku i zwyczajach zapomina,“ że „obce mu być powinno wszystko, co go otacza i co przed nim rozprawiają,“ że „się wydziera z krańców widomego zakresu, porusza miliony niewidzialnych światów, w nieskończoność się zamienia.“

Ta niesforna płatanina myśli wywiodła z cierpliwości spokojnego Brodzińskiego i skłoniła do napisania i wydrukowania jedynego raz w życiu odprawy polemicznej, ironią, a niekiedy sarkazmem nabrzmiałej. Odprawa ta wyszła r. 1827 w „Gazecie Korespondenta Warszawskiego i zagranicznego“ (N. 71 i 72 z końca marca). Połączył w niej różniór Sonetów przez Mochnackiego z dawniejszą jego rozprawą o źródle i duchu poezji w Polsce, przedrwiwając zarówno myśli jak i wyrażenia.

Wspominając o dziwacznych zdaniach, głoszonych przez młodych recenzentów w sprawie poezji, buńczucznie sobie przyznających słusność dla tego, że żaden z przyjaciół klasycyzmu ani słowa im odpisać się nie ośmielił, Brodziński podaje swoje uwagi, ażeby się nie zdawało, iż podobne twierdzenia o poezji są zdaniem powszechnem. „Z przeproszeniem—powiada—najprzód wyznać muszę, że i ja miałem nie szczęście kiedyś rymować, ale gdy się nauczyłem, że do poezji wcale rozumu nie potrzeba, miałem go jeszcze tyle, że się cofnąłem w zawodzie moim. Śpiewam sobie tylko po cichu smutną dumkę, jak ów słowiański chłopiec, któremu romantyczni rycerze pole najechali i na skrzydlatych koniach w bitwach i turniejach się gonią.“ Przypomina następnie różne miejsca z rozpraw Mochnackiego i poddaje je ostrej i dotkliwej krytyce. Dwa szczególnie zasługują na przytoczenie. Jedno z nich dotyczy znanego zdania, że zimna rozważa, tłumiąc iskry zapału, szkodliwą jest twórczości poetyckiej. „Jest więc—mówi Brodziński ironicznie—interesem wszystkich dobro narodu kochających, dać pokój wszelkiej rozważce, ażeby tak delikatnie uorganizowanych zdobywców Olimpu nie spłoszyć... Prawda, że Homer i Wirgiliusz tłumy recenzentów przetrwali, że im zimny rozum dotąd nie zaszkodził, ale ci nie mieli tak delikatnej kompleksji; nasi poeci znajdując zapewne sposób uniknięcia nietylko oka, ale i ucha tych niegrzecznych ichmościów (recenzentów), aby ich napowietrznej harmonii nie zadmuchiły; inaczej trudna będzie do potomności przeprawa.“ Drugie miejsce odnosi się do zalecania mitologii skandynawskiej, a mianowicie do zdania, że „krainy olbrzymów ludu obszerniejsze zakresły granice wymysłem i natchnieniem poezji, zbyt długo u nas więzionej w ciasnej sferze rzeczywistości i stosunków towarzyskich, a przez naśladowanie—dawniej Greków i Rzymian,—teraz Francuzów zlodowaciałej i prozaicznej.“ Na to Brodziński odpowiada: „Jeżeli godzi się mniemać, że autor skutku tych rad zbawiennych nie tak prędko się doczeka, radziłbym bliżej się nad temi lodami zatrzymać, a może uniesienie jego ostygnie, może wtenczas nie pogardzi stosunkami towarzyskimi, które mimo pewnych zбочeń, zawsze przecie są miłsze i uczą umiarkowania potrzebnego, jeżeli nie dla poetów, to dla krytyków i pisarzy, dających nauki i rady. A jeżeli nam lepszych środków oryginalności nie wskaże, niechże zamiast do skał lodowatych, wysle nas przynajmniej na góry i wyspy greckie; i tam upadł tron grzeczniejszych nieco bogów, tam milej będziemy dumać nad znikomością wszystkiego. Godzi się mniemać, że krytyk te i tym podobne zdania głoszą-

*) Czyż uwierzy potomność?

cy, w niezmiernościach idealnych krain nie przewiduje skutku, jaki na umyśle młodzieży mieć mogą, inaczej niepodobna, aby tak źle życzył własnej ojczyźnie. Uniesiony myślą często powtarzana, że wstrząśnienia literackie zbawienne wydają owoce, trząsa wszystkim bez braku, chce wyraźnego nieładu i szału, jakby się nie chciał zastanowić, że podobną smutną chorobę wszystkie narody przeżyły, że Muzy polskie od połowy XVIII wieku przez sto lat w podobnej gorączce się trzęsły i wpadły w zupełny letarg.

(Dalszy ciąg nastąpi)

Kazimierz Gliński.

KRZYWDA.

POWIEŚĆ.

(Dalszy ciąg.)

XVI.

Ostatnia próba.

Miało się ku wiosnie—zbliżały się święta Wielkiej nocy.

Wielkanoc przypadała w drugiej połowie kwietnia, a że wiosna rozpoczęła się wcześniej i dni były prześliczne, słoneczne i ciepłe, zazieleniły się więc pola, a drzewa i krzewy na gwałt brały na siebie strój majowy.

W domu państwa Grudowskich drzwi i okna były otwarte; ciepły, łagodny wiatr przebiegał przez pokoje i napełniał powietrze wonią fioletków. Pani Karolina lubiła fioletki i pierwszą wiązanek tych kwiatów otrzymała od syna. Nie przysłał jej na „dzień dobry“ przez Maryannę, lecz przyniósł sam. Milcząc, wręczył wiosenny podarunek, milcząc przyjął krótkie podziękowanie matki i milcząc wyszedł. Pani Karolina przeprowadziła go wzrokiem do drzwi i bruzda zrysowała jej czoło. Uparte milczenie syna, trudność od pewnego czasu wciągnięcia go do rozmowy, nieustanną napełniały ją trwogą. O ile zauważyć mogła, to ostatnia bytność w Hajczyńcach wywołała tę zmianę w usposobieniu pana Hipolita. Jak się ta wizyta odbyła, co podczas niej zaszło—nie pytała, Grudowski nie także nie wspominał. Zły duch jednak szeptał jej wciąż, że, mimo wszystko, Hipolit nosi się z jakąś myślą, która przybrać może zastraszającą dla niej formę. Odbywane często narady z Maryanną nie przynosiły nic nowego; dowiedziała się tylko, że przewieziony do Piasków materiał budowlany nie tknięty dotąd leży, a zagabnięty przez pokojówkę Czubiński wrzucił ramionami. Nie umówiono się dotąd z majstrami ciesielskimi, nie naprawiono nawet popsutego pieca do wyrabiania cegieł. Od chwili powrotu starej pani zatrzymało się wszystko.

Była to jedyna wiadomość, pocieszająca panią Karolinę. Niepewność jednak ostatecznych zamiarów Hipolita denerwowała ją. Coraz cięższym stawał się jej ten codzienny stosunek z synem, to przymusowe odwiedzanie się wzajemne, które nie zbliżało ich w niczem, a było tylko źle odgrywaną komedią. Dawniej pan Hipolit każde przyjscie matki witał z nieklamana radością, prosił, by odwiedzała go częściej,—teraz zimnymi ustami dotykał jej ręk, nie rozchmurzał czoła, czynił wrażenie człowieka, któremu ludzie zawadzają. Grudowska lękała się pozostawiać syna w samotności, by myślą znów ku Hajczyńcom się nie zwrócił. Zadając sobie gwałt, o ile mogła, starała się być uprzejmą. Odwiedzała go codziennie, zapraszała do siebie, przechadzała się z nim po alejach parku, nic a nic tylko nie

wspominała o Matyldzie i obiecanej niby wizycie swojej w Hajczyńcach. Upartem a umyślnem milczeniem o tym przedmiocie chciała stanowczy dać wyraz skończonej niechęci do wszelkich stosunków z domem Rybów.

Pan Hipolit nie potrafił także tego przedmiotu. Czuł tylko, że z dniem przyjazdu matki coś się urwało, zepsuło i oddaliło się od niego. Był teraz nie tak samotny, a jednak do dawnej samotności tęsknił. Dla czego—nie wiedział sam. Jedną tylko miał pewność, że panny Matyldy nie kocha. Ostatnie widzenie się z nią pozostawiło niesmak pewien w jego duszy, odwiedziny zaś Piasków przez pana Rybę i rozpytywanie Groblewskiego, o czem dowiedział się niebawem, nie podobają mu się stanowczo. To wszystko mogło się dziać bez wiadomości panny Matyldy, ale ona go dziś już nie obchodzi. Jak anatom trupa, z całym spokojem rozbierał swoje uczucia: umarły naturalną śmiercią, nie poprzedzone żadnym wstrząśnieniem ni krzykiem duszy. Nie tak prawdziwa umiera miłość. A jednak—gdyby nie przyjazd pani Karoliny—byłoby inaczej. Jak się to stało? Ta kobieta ma dar przemieniania w lód wszystko, oddych jej piersi mrozi, z ust jej płyną słowa ziębiące jak wiatr północy, lecz mu już wszystko jest obojętnem zupełnie. Uwierzył w *fatum*, skazujące go na wieczną samotność i opuszczenie. Czuję, że nie uniknie melancholii—i nie broni się jej wcale. Niech go upewnia, że jutro świat się zawali, spokojnie będzie oczekiwał końca świata. Tylko u Sochackich ożywiał się trochę, brał dzieci na ręce i tulił do piersi, gładząc dłońmi jasne włoski. Nosił się z myślą jakiegoś dużego zapisu na rzecz tej dziatwy. Niech inni będą szczęśliwi, gdy on szczęścia znaleźć nie może.

Nadszedł dzień Wielkiej nocy.

Błękitno było na niebie, zielono na ziemi. Na murawie pod kłębami coraz więcej wysypywało się fioletków, ostre strzałki irysów nabrzmiały pąkami, i patrzeć tylko, gdy bez zakwitnie. Ku promieniom złotego słońca wyoili się drobny świat muszek, o blade-żółtych skrzydłach motyle wionęły błękitnymi skrzydłami, a w ulach zbudziły się pszczoły i brzękiem napełniły pasieki. Bociany przyleciały oddawna,—Czubiński na polach dostrzegł niejedno stado dzikich gęsi, żorawiane klucze przecięgały przez obszar błękitów z kwileniem, podobnym do odgłosów dzwonów dalekich. Wszystko witało przyjscie wiosny. Nowem życiem oddychał świat cały, we wnętrzu ziemi grały siły twórcze, rozdziły się kwiaty i zioła, blaski i wonie, dźwięki i westchnienia, pożądania i zachwyty miłosne.

Pan Hipolit patrzył na to rozbudzenie się przyrody, zadziwiał go zawsze ten powracający cud życia i czuł smutek niezmierny, że wytrącono go z tej wielkiej pieśni świata.

Po święconem u matki zaszedł do Sochackich. Przywitały go dzieci krzykiem, wyciągając rączką i nastawiając zarumienione buzie do pocałunków.

— Ujek, ujek! — wołały, wyprzedzając się w wołaniu i pokazując piękne, cukrowe jajka. — To od Malyni,—i balanek je i Bozia z cholągiewką je... Paćś, paćś, ujek, akie cacy!...

Sochacy zbliżyli się do pana Hipolita.

— Czekaliśmy na pana dziedzica, czekali, — rzekł pan January.—Choć dziatwa gwałtowała, by się do święconego zabierać, ale ja im powiedziałem: „cicho, smyki! bez ujka jeść nie zaczniemy.“ Szczególnie Basieczka utrzymywała, że pan dziedzic nadejdzie — taka pewna, taka pewna!

— I widzisz, stary, że nadszedł.

— I ja nie wątpię, nie wątpię,—odpowiedział zonie Sochacki,—tylko myślałem, że kochany pan później przyjdzie, pod wieczór, pod wieczór, ale nie zrana.

— A ja utrzymywałam, że zrana; później może nieco, niż zwykle, bo u matki być naprzód musi, ale nas nie ominie.

— Dziękuję pani za tę wiarę we mnie. Byłbym tu od dawna, gdyby nie obowiązek złożenia naprzód matce życzeń świątecznych, ale was bym nie ominął, tak was szanuję i kocham.

Ujął drobną, suchą rękę staruszki i z rozrzewaniem do ust swoich przycisnął.

— Cóż wnuczka państwa—zawiodła?—spytał. Sochacy westchnęli.

— Obowiązek, kochany panie, zatrzymał ją na miejscu. Napisała list tylko, przysłała dzieciom jajka cukrowe, nam życzenia i lzy...

Odwrócił się szybko.

— No, Baśka,—zaczynaj!—rzekł do żony.

Pani Sochacka zbliżyła się do Grudowskiego z talerzem, na którym leżały drobne kawaleczki pokrajanego jajka.

— Czy mam panu powtórzyć wigilijne życzenia?—spytała.

— Nie pani, nie! bez życzeń, bez życzeń!—podchwycił szybko pan Hipolit,—nie wierzę w ich spełnienie.

Zwrócił się do Sochackiego, później do dzieci.

— Czy myślicie, że ja o was zapomniałem, że tylko Malynia o was pamięta? A co to za pudełko postawiłem tam w kącie?

Dziatwa pobiegła do wskazanego przedmiotu.

— Cio to, ujek?

— Zobaczcie!

Wydobył dwa duże stoliki z nakryciem całym. Były tam malutkie butelki z sokiem, nasładowym wino, kiełbasa z czekolady, szynki, indyki, sery i prosięta marcepanowe, talerzyki z kolorowanymi jajkami i babka z ciasta kruchego. Dzieci zaczęły skakać z radości, Sochacka śmiała się ucieszona, a pan January kręcił głową, ściskając serdecznie pana Hipolita.

— I na co to, panie dziedzicu—na co?...

Usiedli do śniadania.

— Pan smutny,—odezwała się Sochacka.

— I po lekarstwo przychodzę zawsze tutaj,—rzekł Hipolit.—Ot, już mi lżej! Widzicie, że się śmieję i przypominam sobie spędzony z wami dzień wigilijny, życzenia pani, za które wówczas tak dziękowałem serdecznie.

— Czyż one są tak trudne do spełnienia?—spytała Sochacka.

— Trudne, bardzo trudne!—rzekł Hipolit.

Staruszka wpatrzyła się w mówiącego.

— Pani nie wierzy?—spytał Grudowski.

— Ja zawsze panu wierzę,—tylko mi się zdaje, że... że...

— Że co? mów pani śmiało... śmiało, jak matka do kochającego syna.

Pochylił głowę, a staruszka mówiła:

— Mnie się zdaje, że pan za mało masz wiary w ludzi, a oni często są lepsi, niż nam się wydają. Jak zaczniemy brać wszystko na rozum, to czasami popsujemy i dobre. A pan, panie dziedzicu, jesteś tak smutny i tak samotny, że pana ogrzałyby malutki płomyk i jak wielkie ognisko świecił. Później już by pan sam, panie dziedzicu, sambyś go rozdmuchał w ogień duży. Tylko—dodała—potrzeba wierzyć, chcieć szczęścia, a szczęście przyjdzie. Gdybym mogła mówić otwarcie, tobym powiedziała, że panu, panie dziedzicu, ktoś się i podobał może,—a przecie nie może być inaczej. Zresztą ja panu powiem, że Januarego lubiłam tylko, później pokochałam i widzi pan, jak mi jest z nim dobrze. A niech będzie dzieciątko jedno i drugie—ot i nowa jest miłość i życie po brzegi wypełnione. Tylko potrzeba wierzyć.

— I wygadała się baba,—zaśmiał się Sochacki.

— Alboż nie tak?

Grudowski milczał.

W jego myśli zaczęły przesuwac się jakieś wspomnienia blade, jakieś cienie półmgliste. Przypomniał sobie pierwszy bal w Hajczyńcach, słowa Matyldy: „jam temu nie winna,“ jej lzy i zniknięcie nagle w rozbawionym tłumie. Później wizyte Rybów w Górkach, przechadzkę do młyna, powrót po księżycu, uderzenie ręką o fortepian, odezwanie się strun, arcydzieło muzyczne, sen, grająca na obłoku, marzenie o cichem, domowym szczęściu...

Uczuł zawrót głowy.

— Pani mówi, że potrzeba tylko wierzyć?—spytał nagle.

— Tak—i brać życie, jakim ono jest tu—nie w obłokach...

Grudowski powstał.

— Może pani ma słuszną, może to ja sam niedowiarstwem swoim zatruwam sobie życie. Dziękuję pani za te słowa pociechy, dziękuję serdecznie, jak dawniej za wigilijne życzenia. Tak mi zimno w życiu, że mnie ogrzać może blask słabego nawet płomyka—odemnie zależy rozdmuchać go w ogień wielki. Trzeba tylko wierzyć i chcieć—ja ani chciałem, ani wierzyłem. Niewiara mnie zabijała... Dziękuję pani—może pani ma słuszną.

Uściskał serdecznie rękę Sochackiej i wstał ożywiony i podniecony myślą jakąś.

Sochackim nie były tajne zamiary pana Hipolita, nieraz mówił z nimi o Hajczyńcach, czasem o pannie Matyldzie wspominał, kupieniem zaś domu u Ziemana uzasadniał domysły. Lecz od czasu przyjazdu pani Karoliny jakaś zmiana zaszła w usposobieniu dziedzica. Pani Sochacka domyśliła się niemal wszystkiego. Pomogły jej także półsłówka pana Hipolita o niewiarze i wątpliwościach różnych rzucone. Dlatego teraz wypowiedziała całą myśl swoją, a śnać trafiła dobrze, bo serdeczne otrzymała podziękowanie.

Pan Hipolit wyszedł trochę inny, niż wtedy, gdy przestępował próg ich mieszkania. Takie życie, jakie wiódł teraz, mogło go tylko do melancholii doprowadzić, a wszelka zmiana nie mogła mu nic gorszego przynieść. Potrzeba wierzyć, a jeśli nie można—udać, że się wierzy.

Dzień był ciepły, w powietrzu panował gwar i ruch. Z zamorskich krain przylatywały jaskółki i u okien mieszkania Sochackich gniazda wily, bociany klekotały radośnie, wróble świergotały, aż w uszach klaskało, a zapachy drzew i rozkwitających krzewów rozlewały się dookoła.

Hipolit skierował się do ogrodu,

Ten sam ruch, gwar, blaski i wonie, świegoty ptactwa i poloty motyle. Ciepły wietrzyk przelatywał wzdłuż alei parku, muskał jasno-zielone listki kłębów, szeptał tajemniczo w gęstwinie tarniowych krzewów. kołysał się w ramionach brzoź i z westchnieniem ginał w oddali. W przecięciach drzew świerkowych srebrzyła się wąska wstążka Unawki, turkot kół młyńskich klócił się z echem sennem, słyhać było rytmiczny spad wody i pierwsze, niepewne odezwanie się słowika... Śpiewaki wiosny stroiły swe piersi i coraz śmieiej i coraz głośniej odzywać się zaczęły.

Pan Hipolit zatrzymał się.

W tem silniejszy wiatr wionął i pierś jego wypełnił jakimś oddechem szerokim.

I zdało mu się, że z zakrętu alei wyszedł cień panny Matyldy, że idzie ku niemu lekkim, równym krokiem.

Złudzenie!

Ale mu serce zadrżało—a fala krwi przepłynęła z szumem przez żyły. Zapomniał, że brzydką mu się wydała, gdy ją widział poraz ostatni—pamiętał tę dawną Matyldę, trwożącą go utopieniem się w stawie.

Na zakręcie alei spotkał panią Karolinę.

Mimowoli wargi zacisnął.

— Gdzieżes był?—spytała sucho, widząc pewną zmianę w twarzy pana Hipolita.

Ten głos dziwnie go wzburzył.

— U Sochackich,—rzekł.

— Bywasz tam dość często, jak zauważyłam.

— Bo lubię tam bywać.

Ironiczny uśmiech przemknął przez usta pani Karoliny.

— A zkad teraz wracasz?

— Przechadzałem się po ogrodzie... Sawko!—zawołał nagle, widząc niedaleko domu chłopca.—

Każ, by mi zaprzężono konie!

— Jedziesz?—spytała Grudowska.

— Tak.

— Dokąd?

— Do Hajczyńiec.

Pani Karolina drgnęła.

— Myślałam, że choć pierwszy dzień świąt ze mną przepędzisz?

— Ale ja z mamą dzień każdy przepędzam.

Dziś postanowiłem być w Hajczyńcach.

— I będziesz?

— Będę.

— Zkądże tak nagły zamiar. Czy zatekniesz?

— Może!

— Co?—zawołała nagle Grudowska, a czoło jej zmarszczyła bruzda gniewu.

— I czego mama tak się obawia panny Matyldy? Gdybym nawet postanowił z nią się ożenić, tobym oszczędził mamie jej towarzystwa. Ale do tego daleko jeszcze, bardzo daleko... Co jutro być może, nie wiem. Dziś, jadę, by zbażyć samego siebie. Albo zerwę raz na zawsze z nią i ze światem całym, albo...

— Albo?—spytała Grudowska.

— Spróbuję szczęścia,—dokończył pan Hipolit.

Dwa spojrzenia zmierzyły się z sobą, dumne, harde, nieugięte.

Zapanowało milczenie długie, przerywane tylko oddechem dwóch piersi, z których jedna nienawością tchnęła, druga podnosiła się szybko, wielkim bólem wezbrana. W powietrzu było cicho—przez liście drzew słońce w złote plamy padało na ziemię, szmer owadów szeleścił wśród traw i wróble gdzieś świergotały. Milczenie się przedłużało—syn i matka łamali się wzrokiem.

Twarz Grudowskiej białała coraz bardziej, oczy stawały się zimne jak stal, zacisnięte wargi drżały groźbą jakąś. Lecz Hipolit nie uląkł się tej groźby—stał pewny siebie, niezachwiany w raz powziętem postanowieniu.

— Jedź!—rzekła po chwili Grudowska.

Odwróciła się i odeszła krokiem królewskim. Przed ganek zajechał powóz pana Hipolita.

(Dalszy ciąg nastąpi)

DUSZA DZIECKA

fragment z poematu „Ludzki duch“

przez **Maryę S.**

MATKA.

Noc już, na niebie gwiazdeczki się palą
Wszystko ucichło, ptak w gnieździe się tuli,
Idź spać, dziecińco, lecz klęknij wpierw jeszcze
I zmów paciorek

DZIECKO.

Mateńko jedyna,

Nie każ mi dzisiaj odmawiać paciorka.

MATKA.

Dlaczego?

DZIECKO.

Bo ja się modlić nie mogę
Słowami, widzisz, tak gwiazdki migoczą,
Bzy i narcyzy na grządkach się tulą
I tak się srebrzą sukniemi białemi
I zaglądną do mego okienka
Jak gdyby małych aniołków gromady,
Mnie się tak zdaje, że gwiazdki na niebie,
I niebo całe i bzy i narcyzy
I chmurki białe i promyk księżycy,
Co jakby deszczyk po listkach się sieje,
Wszystko, co w koło mnie żyje, to wszystko,
Na co popatrzę, to się modli, mammo.
Więc ja się modlić nie mogę słowami,
Nie mogę myśleć tylko o pacierzu,
Bo widzisz, mammo, jabym chciał odrazu
Myśleć o Bogu i kwiatach i chmurach
I o księżycu i o śpiących ptaszczkach
O wszystkim, wszystkim, co piękne na świecie.

MATKA.

Widzisz, dziecińco, za te piękne rzeczy
Za wszystko wdzięcznym musimy być Bogu
I okazywać tę wdzięczność w uczynkach,
W pracy i w szczerzej gorącej modlitwie,
Modlitwa, dziecię, jest rozmową z Bogiem.

DZIECKO.

Ja się chcę modlić, mammo ale jakoś
Inaczej, bo nie słowami pacierza.
Naucz mnie innej modlitwy, jedyna,
Zeby tam było o gwiazdach i kwiatach,
I o księżycu i o chmurkach białych
I Panu Bogu by się podobała
Zapewne lepiej taka modlitewka.
Bo Pan Bóg pewno także kocha gwiazdki
Księżyc i niebo i ptaszki i chmury,
Jak kocha ludzi, wszak tyś mi mówiła
Że Pan Bóg kocha nas wszystkich na ziemi,
I opiekuje się nawet najmniejszą
Muszką i nie da muszce umrzeć z głodu,
Więc Pan Bóg kocha i muszkę, wszak prawda?
Modlitwa, mówisz, jest rozmową z Bogiem,
Ja będę mówił z nim o zbożach, łąkach,
Tak jak rozmawiam z tobą, a ty przecie
Za to się na mnie nie gniewasz, Bóg także
Gniewać się na mnie nie będzie, wszak prawda?

MATKA (otwierając książkę).

Czytaj dziecię.

DZIECKO (czyta).

„Czego chcesz od nas Panie za Twe hojne dary.“

MATKA.

A ta modlitwa czy ci się podoba?
Czy ją rozumiesz?

DZIECKO.

O tak, czuję, mammo.

Czyś to ty ułożyła takie piękne słowa?
Bo tu jest i o kwiatach, o morzu i gwiazdach,
I o słońcu, o wszystkim co piękne i Boże.
Ja tego nie rozumiem dobrze, ale czuję,
Ale widzę to wszystko, wszystko przed oczami,
Kwiaty pomalowane, obłoki i chmury,
Gwiazdy i błyskawice, tęcze i pioruny,
Co wysoko po niebie jak węże pełzają,
Straszne, ale ja się ich wcale nie boję,
Bo mi się zdaje, że tam, nad niemi wysoko
Widzę dobrego Boga twarz jak rozkazuje
Tęczom, chmurom, piorunom i burzom a one,
Słuchają Go, więc złego nie zrobić nie mogą,
Jak będę grzeczny, nic mi nigdy się nie stanie,
Mammo, wszak prawda, Pan Bóg każe wtedy ludzi
Nie skłamię, choćbym nawet obawiał się kary.
A dla biednych, to zawsze będę chował grosze
Jak dostanę od ciebie na jabłka, cukierki.
Mammo, czy biedni nigdy nie mają cukierków?
Czemu oni tak smutni, głodni, i obdarci,
Czy Pan Bóg ich mniej kocha, że im tak nie daje
Jak nam pięknych sukienek i dużo pieniędzy?

MATKA.

Pan Bóg jednako wszystkich kocha, dziecię,
Biednych, bogatych, a nawet tych więcej
Co cierpią, więcej tych, co nieszczęśliwi.

DZIECKO.

A czemuż Pan Bóg im cierpieć pozwoli,
Czemu pozwoli, że biedni i głodni,
Że im łzy płyną, że smutni, o mammo,
Ja nie pozwoliłbym, żeby kochani
Cierpieli nędzę gdybym był bogatym,
A Pan Bóg przecież bogatym jest, mammo,
Jego ten cały świat taki ogromny,
Z słońcem, z gwiazdami, z ptaszkami, kwiatami
Jego te wszystkie siane żytem pola.
Wszak tyś mi sama to mówiła, mammo,
To Bóg by przecież mógł dać biednym chleba.

MATKA.

Innymi dary Bóg biednych nagradza,
Za łzy, za smutki, za wszystkie cierpienia,
Anioły z nieba zsyła pod ich strzechę,
Co niosą radość, szczęście i pociechę.
Oni się cieszyć z małego umieją,
Kawałek chleba smakuje im czarny,
Mają spokojny sen po ciężkiej pracy.
A łzy ich Pan Bóg liczy jakby perły
I każdą kroplę, potu wyciśniętą
Przy ciężkiej pracy z schylonego czoła
Zbiera i zsyła jasnego anioła,
Po te łzy i te krople potu, znoju.

DZIECKO.

Mammo, ja także chciałbym zostać biednym.
I cierpieć, żeby tylko do mnie biali

W noc, na księżycu anieli spływali
I mieli takie skrzydła posrebrzane
Jak tych narcyzów listki, co w ogrodzie,
Jak płatki śniegu na tej grządce leżą.

MATKA (do siebie).

Duszo ty jasna, duszo dziecka, święta,
Jeszcze ty biała jak ten kwiat liljowy
Jeszcze ty ziemską skazą niedotknięta,
O życie, kiedy ty z sfinksową twarzą
Przyjdiesz, gdy prawdę ukazesz mu nagą,
Zdarłszy z niej przedtem tęczowe osłony
Marzeń i złudzeń, gdy tchem zwiejesz liście
Kwiatów i tylko zostawisz szkielety
Smutne, bezbarwne, złamane i suche.
Anioły skrzydła potracą, korony
Z gwiazd i sukienki z przejrzystych obłoków.
O duszo, wtedy co się z tobą stanie?
Gdy przyjdzie jesień bez kwiatów, bez tęczy
I tylko kilka gwiazd kędyś w pamięci
Zadrży zbłąkanych na pochmurnem niebie...
O duszo jasna, o duszo skrzydlata,
Co się dziś zrywasz do gwiazd, aż do Boga,
Czy twoich skrzydeł nie połamią burze,
Czy nie zciemnieją ich pióra śnieżyste,
Gdy na nie czarny pył tej ziemi padnie,
Kiedy się zetkną z brudnymi wyziewy?
O duszo jasna, ja cię nie obronię;
Pókiś dziecięciem nucę nad kołyską,
Póki mam ciebie, od złego ustrzegę
I rady podam, nauczę przebaczać,
Kochać i wierzyć, modlić się, być dobrym,
Wleje ci dumę, wiarę, męstwo, siłę
Synu mój, będziesz wierzył w Boga, w ludzi,
I będziesz chodził wyższymi drogami,
I będziesz dążył do wielkich idei.
Ale co życie, co świat robi z ciebie?
O arcydzieło, moje, o ty duchu!
Aniele stróżu, strzeż go, strzeż ty biały.

DZIECKO.

Czy za mnie, mamu, odmawiasz paciorek?
Ach jak to dobrze, bo ja senny jestem,
A jakbym poszedł dziś spać bez paciorka,
To by już do mnie aniołek promienny
Nie przyszedł z gwiazdką, ze skrzydeł szelestem
I w noc u mego nie stałby łóžeczka,
I srebrnej gwiazdki nie palił na niebie.
Wszak prawda, mamu, tyś sama mówiła,
Że nad dobrymi anioł jasny czuwa
I sny im złote z gwiazdeczek wysnuwa.

MATKA.

Tak moje dziecię!

DZIECKO.

Zanuć mi jedyna
Jaką piosenkę o królu, wojaku,
Co to na dzielnym wyjeżdżał rumaku
I pozłociste ostrogi przypinał.
A gdzie przeleciał i mieczem zabłysnął,
To się schylały przed nim miasta, zamki
I królewicze, książęta, rycerze,
Jak ja urosnę i dosiądę na konia
I miecz przypaszę i złote ostrogi,
I będę hasał przez pola, przez błonia.
Hen, w świat pojedę, w nieznajome szlaki
Pobiję królów, rycerzy i smoka
Strasznego, co mu głów siedem wyrasta,
Zaczarowane królestwo zdobędę
I oswobodzę zaklętą królownę
I sam na tronie królewskim zasiądę
Prawda matusiu?

MATKA.

Śpij, śpij synku luby.

DZIECKO (coraz senniejsze).

Sen mnie ogarnia... Śpiewaj mi jedyna!

MATKA (śpiewa).

Był król jeden, wielki młody
Co miał miasta, zamki, grody,
A rycerstwa świetny kwiat...
I miał rzędy, ręce konie,
Pozłociste szable, bronie.
Mógłby podbić cały świat.
Jak wyjechał w dzionek biały
To mu drzewa się klaniały
Kwiaty, kłosa złotych pól;
Słonko samo się chowało.
Za chmureczkę letnią, białą,

Gdy z swym dworem jechał król.

I ten piękny król, czyż wiecie,
Nie miał szczęścia na tym świecie,
Było mu tu źle, oh źle;
Choć, czego zapragnął tylko,
Sprawdzało się z każdą chwilą —
To on tęsknił, nudził się.

I z wieczną tęsknotą w łonie
Przelatywał lasy błonie

I do ludzkich pukał bram,
A gdy kładł się w pięknym grobie
Czego szukał — wyznał sobie:

Że nie wiedział dobrze sam...

Głos z za okna.

Oj, jak mgielka srebrna biała z wieczora,
Skrywa jasne, modre oczy jeziora,
Tak mi smutek zamglił duszę oj młoda,
Więdnę sobie jak lilijka nad wodą.

Słychać śpiew słowika i fujarki.

MATKA.

Usnąłeś synku mój mały,
Usnąłeś pociecho moja,

Niech cię strzeże anioł biały.

Szemerzą srebrne wody zdroja,
Szumi wietrzyk przez doliny,
Gwiazdki błyszczą na błękitcie,
Śpijże, luli, moje dziecię,
Śpijże, synku mój jedyny.

Dziecko usypia, matka je całuje i odchodzi, nad łóžeczko sphywa skrzydlaty anioł stróż. Zdaleka slychac chóry.

CHÓR I-szy.

Śpij, aniołku mały,
Jasny duchu śpij,
O szczęściu, o niebie
Śnij na ziemi, śnij.

ANIOŁ STRÓŻ.

Matka się do mnie modliła za ciebie.
Pod moje skrzydła oddała dziecinę.
Wezmę w śnie złotym duszę i owinę
W szatę z obłoku, w skrzydeł moich puchy,
I tam, w błękitnem utoniemy niebie.
Kędy się Bogu modlą jasne duchy.

CHÓR MAŁYCH ANIOŁKÓW.

Rówieśniku nasz.
Chodź się bawić z nami,
Gdzie kołyszą się
Pozłociste łany,
Gdzie ten błękit nieb
Gwiazdami usiany,
Gdzie te szarfy zórz.
Płoną, purpurowe.
Gdzie jutrzienki lśnią
Złocisto-różowe.

CHÓR II-gi.

Chodź, mały braciszku, naszemi drogami,
Przeigrać wiek złoty, przeigrać go z nami.
Tam barwne motyle, tam kwiatki mieniące,
Tam strumień srebrzysty mknie żwawo po łące,
Tam rybki trącają skrzelałami w fal szkiełka.
Tam w kwiatku tęczami lśni rosy perelka.
Tu ptaszek zwił gniazdko w zielonej leszczynie
Tam słowik piosenkę zadzwonił dziecinie.
Chodź z nami braciszku, lekkimi skrzydłami
Przebijasz wiek złoty, przeigrasz go z nami.

WIOSNA.

Na złotym promyku słońca
Spłynęłam w śnieżnej sukience
Pierwszego kwiatka, pierwiosnka.
I skowronka ślę za gońca,
Aby mową ptaszka, kwiatu,
Że idę, dali znać światu.
Ktoś tam gra na fujarence
Jaka rzewna dzwoni piosnka,
To moja mowa, co z duszy
Srebrnym dźwiękiem pada w echu,
Brząc po leśnej, polnej głuszy...
Ale lży czuć w mym uśmiechu.
Smutno mi, smutno, dlaczego?
Czy dlatego, że na ziemi
Krótkie trwanie życia mego?
Że nad łąki kwiecistemi
Ledwo skrzydłami motyla

Przemknę, ledwo z paków kwiaty
Poodwijam, ledwo w szaty
Świeże postroję wierzby,
Ledwo z słonka nie wyprędę,
Pomaluję kwiatów grzędę,
Ledwo słowika śpiewania
Nauczę, ach już mój koniec
Mego życia krótka chwila.
Już od siostry leci goniec,
Od królowej pani lata.
— Chodź, malutki, chodź, kochanku.
Pierwiosnku ludzkiego życia,
Coś ledwo wyjrzał z powicia
Chodź, zobaczysz cuda świata,
Sine góry w lasów wianku
Smaragdowe tonie fali
Rubin co się zorzą pali.
W pierwszych mego życia switach
Na pogodnych, na błękitach.
Mam dla ciebie różne dary,
Mam dla ciebie cuda, czary.

ANIOŁ STRÓŻ

Chodź mała duszyczko tą drogą, tą drogą
Pod skrzydeł mych śnieżnych obroną.
Bo różne złe duchy omamić cię mogą,
Pod czarów zwodniczych osłoną.
O matka się modli za ciebie jedyna,
Patrz w ciemnym kościele, na progu.
Ustami drżącemi śle modły za syna
W opiekę oddaje cię Bogu.
Tam kwiatek, dziecino, nie dotknij rączkami,
Bo w nim się trucizny jad chowa,
Tu motyl złotymi kołyszami skrzydłami
Patrz, barwa ich cudna, tęczowa.
O nie idź tam dziecię, ten motyl cię wabi
Gdzie czarnych skał dzikie urwiska
I miga blaskami szat swoich jedwabi,
Zwodniczo wciąż niemi połyska.
Ty chyliś swą główkę gdzie krzak ten powoju
Pień drzewa wieńcami obwija.
Chcesz spocząć tam w cieniu na chwilę po znoju,
O strzeż się, tam kryją się żmija.
O dziecię, unikaj, co błyszczy, co świeci
Bo nieraz to zwodzi jak we śnie,
Za wzrokiem wraz duch tam i serce polecie,
I nieraz się zrani boleśnie.

CHÓR.

My słońca, my blaski ściemy po niebie,
Do życia, do światła, przyszlismy po ciebie.

WIOSNA.

Rzucę garść kwiatów do twojej kołyski
Przędzą marzenia okręcę jak wózka.
Z pełnego malin dam ci pieć dzbanuszką
Aż marzeniami staniesz się nam bliski...
Patrz, oto siostra moja: miłość cicha,
Jak kwiat fiołkowy czystą płacze rosą
Chowa się w cieniu i samotna wzdycha
Młode jej tchnienia już w górę się niosą.

MIŁOŚĆ.

A ja tobie w podarunek
Niosę z pola świeże kwiatki,
Uśmiech siostry i od matki
Na twe czoło pocałunek.

CHÓR.

Śpij dziecino mała
Bez bólów, bez łez,
Pókiś nie zaznała
Co spokoju kres —
Śpij w marzeń błękitcie,
Cichutko jak ptak,
Nim cię zbudzi życie
Na szeroki szlak.

(Dziecię śpi,—za oknami jasna noc wiosenna).

PAŃSTWO ZIUZIOWIE

OBRAZEK Z NATURY

skreślił

Jerzy Orwicz.

„Boże mój! Piąta wybiła!... Pięć minut na szóstą! Za kwadrans... tak!... Za kwadrans, będzie już kwadrans na szóstą!... A Ziuzio nie przychodzi!... To rozpacz!... I jak tu być dobrą gospodynią, dawać nieprzypaloną pieczeń, kiedy on pozwala sobie spóźnić się codziennie... ale to codziennie!... I to się nazywa słodyczą miodowych miesięcy!...“

Wyrazy te mówiła szybko na wpeł do siebie, na wpeł do kucharki w tej chwili w proggu saloniku stojącej, — młodzianka kobietka o śniadej cerze i żywych czarnych oczach, w których rzeczywiście malowała się nieudana rozpacz, zupełnie licująca z dramatycznością położenia! Pani Lola co chwila wychylała się przez otwarte okno, by dojrzeć owego zbrodniarza, który ośmiela się na tak straszne lekceważenie domowego ogniska, opóźniając obiad, nazywany dotąd najmiłszą dnia chwilą, kiedy przy nieustannym szczebiocie młodej żonusi, połykał z olimpijskim spokojem różne przysmaki (wprawdzie często bardzo fantastycznie przyrządzone, gdyż pani Lola miała żyłkę do robienia wynalazków kulinarnych, szczególnie w dziedzinie legumin i sosów) i chociaż genialne pomysły młodej i pełnej intuicji gosposi nie zawsze wydawały błogie rezultaty, były jednak podawane z tak dobrą chęcią i z taką werwą zachwalane, że pan Józef musiał w końcu przyznać, że podobnych specyałów nigdy jeszcze w życiu nie kosztował.

Co prawda, dla każdego przeciętnego psychologa (których u nas ostatnimi czasy namnożyła się znaczna ilość), małżeństwo „państwa Ziuziów“ mogło służyć niezbitym dowodem, jak kontrasty harmonizują z sobą i stanowią nieraz podstawę szczęścia małżeńskiego.

Na pozór trudnoby znaleźć pod słońcem dwie tak mało podobne do siebie istoty pod względem temperamentów, charakterów i usposobień, jak pan Ziuzio i pani Ziuziowa!

On — jasny blondyn, spokojny, systematyczny flegmatyk; ona — iskra, żywe srebro, roztrzepana, zastanawiająca się zwykle w sekundę po wypowiedzeniu swej myśli — nad jej treścią; z powierzchni — istna cyganeczka, biorąca zwykle wszystko z najweselszej strony. „Trzpiot,“ „fryga,“ jak ją mąż czasem żartobliwie nazywał; ona nawzajem powiedziała mu w dzień ślubu nawet, iż on wydaje się jej arcy-komicznym ze swą wieczną powagą i spokojem, niemniej jednak zachwyconą jest swym wyborem i prosi tylko, aby on nie traktował jej zbyt na seryo, bo ona w żaden sposób nastroić się do tego tonu nie potrafi. Pan Józef w miejsce odpowiedzi, tysiącami pocałunkami pokrywał rączki narzeczonej. Nieustanny szczebiot różowych jej usteczek i śmiech srebrny, dzieciennie wesoły, rozbrzmiewający co chwila dokoła, stał mu się wprost niezbędnym do życia i na poważną zwykle twarz jego wywoływał wyraz rozpromienienia i błogości. Państwo Ziuziowie dopełniali się wzajemnie i formalnie szaleli za sobą, pomimo częstych sprzeczek, wywoływanych zazwyczaj błachymi przyczynami. Sprzeczek te były jakby ostrą przyprawą do nazbyt ekliwego szczęścia miodowych miesięcy pożycia małżeńskiego. Przez nie pani Lola miała sposobność popisywać się ze swym nieporównanym darem wymowy, podtrzymywanym jednocześnie dorzucanymi od czasu do czasu półsłówkami nieoszacowanego pana Ziuzia.

Tymczasem pan Józef, wychodząc z biura, spojrzawszy na zegarek i zobaczywszy, że już jest po piątej, od razu przeczuł, że spotka go w domu małutka scenka małżeńska, uśmiechnął się jednak do siebie tak wesoło, jak człowiek czy-

tający afisz wodewilu, na którym obiecuje sobie zabawić się wyśmienicie.

Takim już był ten pan Ziuzio wyjątkowym egzemplarzem, że to, co przez wszystkich mężów w całym chrześcijaństwie uważanem jest za jedną z plag egipskich, co przynajmniej trzy części kawalerów na całej kuli ziemskiej odstrasza od ślubnego kobierca, to właśnie miało nieopisany urok dla pana Józefa. Słowem, lubił scenki i teraz dobrowolnie ją wywołał. Z zasady pan Józef nigdy się nie śpieszył, i teraz więc, chociaż wszyscy koledzy jego już dawno opuścili biuro, on ze zwykłą sobie systematycznością poskładał papiery, schował książki buchalteryjne i upewniwszy się, że wszystkie szufladki biura są dobrze pozamykane, opuścił przybytek pracy udając się w stronę swego mieszkania.

Było już wpół do szóstej, a do takiego zachwalstwa nigdy jeszcze nie dochodził niesforny małżonek; pani Lola miała więc już uzasadniony powód niepokoić się, gniewać i rozpaczać, — słowem w okropnym być humorze! Z powodu nerwowego usposobienia, w jakie coraz więcej wprawiała ją tak długie oczekiwanie, stłukła stojącą na oknie doniczkę z hiacyntem i była właśnie zajęta zbieraniem rozsypanej na posadzce ziemi, gdy dzwonek dał się słyszeć w przedpokoju, a za chwilę kroki pana Józefa usłyszała w przyległym pokoju. Nie wybiegła jednak, jak zwykle, na jego spotkanie, a pan Ziuzio, otarłszy swe wysokie czoło, które już trochę zaczęło zakrawać na łysinę, i podkręciwszy modnie nastroszone wąsiki, musiał wejść aż do saloniku, aby tam upomnieć się o należny mu na przywitanie całus.

Pani Lola zmierzyla go tak pogardliwym spojrzeniem, że aż się zmieształ na seryo.

Młoda kobieta tryumfowała. Wyraz twarzy pana Józefa wydał się jej tak pociesznym, że omal na głos się nie roześmiała. W każdej innej chwili rzuciłaby mu się na szyję, a przynajmniej okręciłaby się z nim po salonie, tym jednak razem powzięła stałe postanowienie odegrania sceny aż do końca, odwróciła się więc nagłym ruchem i nie patrząc nań, wyciągnęła rękę poza siebie, jakby broniąc się od napaści.

— Niech się do mnie nie zbliża! Czy słyszy? Ja z nim nie mówię dziś wcale!

— Eh! Cóż znów za „austrijackie gadanie“ — zawołał pan Józef wesoło, biorąc ją za rękę i starając się przemocą zajrzeć jej w oczy, które uparcie od niego odwracała.

— I za cóż to taka nielaska na mnie spadła? czemuż tak strasznie zawiniłem?...

Na podobnie naiwne pytanie, pani Ziuziowa nie raczyła nawet odpowiedzieć, wskazała tylko paluszką na zegar, stojący na kominku.

— No więc cóż? Spóźniłem się trochę, nie widzę jednak racji, by moja najmilsza żoneczka kazała mi tu darmo czas tracić, zamiast zaprosić mnie na dobry obiadek. Czyż nie tak, moja pani?

I znów starał się do niej zbliżyć, ale usiłowania jego były daremne, pani Lola bowiem stała się wprost nieubłagana.

— Dobrze ci śmiać się!... — zawołała gwałtownie — oto skutki waszego lekkomyślnego zapatrywania się na rzeczy, lekceważenia wszystkiego; nie tłumacz się żadnymi ważnymi sprawami, przecież zaraz po naszym ślubie przychodziłeś zawsze o piątej, w ostatecznym razie, gdy nie mogłeś być punktualnym, brałeś dorozkę, a dziś dochodzi do tego, że pośpiech uważasz za rzecz zbyteczną — i to już teraz — we dwa miesiące po ślubie!... zobaczmy co będzie dalej!...

— Zobaczmy! zobaczmy! — odrzekł pan Józef wesoło, — tymczasem jednak nie móż mnie już dłużej głodem. Uspokój się, moja miła, nie domyślasz się bowiem nawet, jak dobrą mam dla ciebie nowinę.

W na wpeł jeszcze gniewnych oczach pani Lola zabłysła ciekawość.

— I cóż to takiego naprzykład?... Pewno jakieś dzieciństwo, lub może myślisz wzięść mnie na jakiś fortel? No co? powiedz! — Ciekawość zamigotała w jej oku.

— A widzisz, jak to źle się dąsać, od razu już byłabyś wiedziała o niespodziance, a tak, napróżno tylko czas tracimy, a obiad stygnie,

— No dobrze, już dobrze, zapomnijmy już o tem co zaszło, mów tylko prędko co się stało?

— A więc zgadnij, kto był u mnie dziś w biurze?

— O! to dopiero ciekawe! Pewno jakiś kolega lub jakiś dawny przyjaciel, i cóż mi to obchodzić może! Jeszcze cię wyciągnie na jakąś kolacyjkę i na tem koniec!

— A właśnie, że i ciebie, Lolus moja, ten ktoś obchodzi!... Ktoś, co wpadł do mnie jak bomba wprost z dworca kolei zupełnie niespodzianie, ktoś jednym słowem, czyj widok sprawi ci wielką a wielką przyjemność!...

Pan Józef mówił zwolna, cedził niemal wyrazy, delektując się ruchliwą grą twarzy swej towarzyszki, oczki której latały teraz niespokojnie, ciekawość podniecona rozpalala w nich isierki; kręciła się na miejscu niecierpliwie.

— No, powiedz-że nareszcie, mój Ziutku! mój złoty! Któż to taki?

— Słuchaj więc! Leon wpadł do mnie dziś rano do biura, by się dokładnie o nasz adres dowiedzieć; za chwilę będą tu oboje.

— Co? Leonostwo tutaj? Hanka jest w mieście? Na Bogal Czyż to być może? Co za szczęście! — Pani Lola aż podskoczyła z radości.

— Ach ty potworze! jak mogłeś dręczyć mnie tak długo i nie powiedzieć od razu o ich przyjeździe! Gdzież oni są? Czemu nie uprzedzili nas wcześniej? Ziuziu! zlituj się — leć prędko i kup ciastek w cukierni, nie mamy bowiem dziś żadnej leguminy, a jak poszę Antosię, siedzieć będzie z dwie godziny.

— Uprzedziłem twe życzenia, moja ty chimerko; znajdziesz więc w przedpokoju parę paczek, domyśliłem się bowiem, że ci się to przyda do herbaty. Oni są jednak na obiedzie u matki Leona, gdzie się też zatrzymali, lecz natychmiast po obiedzie mają przyjść do nas.

— Ach jak to dobrze, jak to dobrze! Moja Hnaka złota! Antonino, proszę podawać prędej! Antonina słyszy? Samowar niech będzie w tej chwili. Państwo Leonostwo zaraz tu będą!... Więc Leon skończył już budowę kolei? Jak z nieba spadli doprawdy! Przebaczam ci, Ziutku mój złoty, — zawołała radośnie, zarzucając mu gwałtownym ruchem obie rączki na szyję i czując widocznie potrzebę wylania nadmiaru swych uczuć, — ale zaklinam cię na wszystko, nie wysmiewaj przed Hanką moich pomysłów kulinarnych, ona taka gosposia zawołana, gotowa pomysłuć doprawdy, że ja cię Bóg wie czem karmię! Dobrze, że nie będą w czasie obiadu, bo ta pieczeń jakoś nie świetnie wygląda. Ale to twoja wina, żeś się spóźnił! Ach, Ziuziutku mój drogi, jak ja cię bardzo Kocham!...

Naraz w przedpokoju dało się słyszeć gwałtowne szarpnięcie dzwonka, na odgłos którego pani Lola lotem ptaka znalazła się przy drzwiach wchodowych.

Srebrny śmiech w połączeniu z wesołym dziewczęcym męzkim głosem za drzwiami już słychać było. Uściski trwały kilka sekund, poczem tak wielki gwar powstał, że z drzwi przyległego mieszkania wyjrzała ciekawa pokojówka, na schodach jakiś mały piesek zaczął ujadać zawzięcie, słowem zrobił się zamęt nie do opisania; pan Józef z serwetą u szyi zaledwie miał czas otrzeć swe płowe wąsy, gdy już wpadł w ramiona słusznego o nader miłej powierzchowności szatyna, który wyściskał go serdecznie, a nad uchem piszczał mu głosik małutkiej, pulchnej, wspinającej się ku niemu na palcach kobiecinki, która wołała wesoło:

— Witam cię! witam szwagierku! Witaj mój panie družbo! Pamiętasz, jakeśmy to dokazywali na wieczorku u babci? Dawne czasy, prawda? trzy lata temu, a jak było wesoło!... Teraz spoważnieliśmy, co? spoważnieliśmy ogromnie!...

Przybyła pareczka była to para trzpiotów, jakich mało. Oboje jednak chcieli pozować gwałtem na arcy-poważnych ludzi, z czego wypływały wiecznie arcy-komiczne sytuacje.

Pani Anna, a właściwie pani Hanka, gdyż ją tak bliżsi i nawet dalsi znajomi zwykle nazywali, była pulchniutka, różowa jak jabłuszko tyrolskie kobietka, o czarnych, żywych jak u siostry żrenicach; zaokrąglona jej kibić, stanowiąca dla mężczyzn wielką ponętę, była powodem ciągłej jej rozpaczki, pani Hanka bowiem obawiała się strasznie zbyt czarnej tuszy, która pono w jej rodzinie była dziedziczną i występowała coraz wyraźniej w mocno zaokrąglonym podbródku i na białych i miękkich rączkach, naktórych tworzyły się dołki, jak to zazwyczaj u małych dzieci bywa. Pani Anna wstydziała się tych rączek i żeby ich nie wysmiewano, kryła je w fałdy sukni, chwilami jednak zapominała o tem i manewrowała niemi, gestykulując żywo, by znów, przypomniawszy sobie nagle, złożyć je co prędzej „w małdrzyk.“ Niczego tak nie zazdrościła na świecie, jak smukłej, giętkiej kibici; było to jednak marzenie nie do spełnienia, i to ją wielce trapiło, to też przy pierwszych prawie słowach powitania zawołała do siostry:

— Powiedz mi szczerze moja Lolciu, czy nie uważasz, jak ja ogromnie schudłam?

Pan Leon wybuchnął homerycznym śmiechem. — Powiadam wam, historię mam z moją Hanką! Sfiksowała kobieta na punkcie eteryczności, waży się omal że nie codzień, a mnie dla swego towarzystwa nieraz i głodem morzy...

— O! co to, to nie! — oburzyła się młoda kobieta, to jest kłamstwo, wołające o pomstę do nieba! Sam przecież mówiłeś mi nieraz, że nigdy nawet za studenckich czasów nie marzyłeś o tak wysmienionych śniadankach, podwieczorkach i kolacyjkach, jakie ja ci sporządzam!...

— Jak to?... a obiadu wcale nie jadacie? — zawołał wesoło pan Ziuzio.

— A bywa to, bywa!... — wołał Leon.

— To tak jak i u nas, — śmiał się Ziuzio — możemy sobie dać buzi szwagierku!

— Leonie!

— Ziuziu!

Zawołały jednocześnie oburzone siostry.

— Doprawdy, wszystkie młode mężatki, są to najnieszczęśliwsze pod słońcem istoty! Tyranizujecie nas prawie od dnia ślubu swą niesprawiedliwością, — mówiła Lola z zapalem.

— Ja czuję, że wkrótce suchot dostanę ze zmartwienia!... — wołała Hanka z komiczną rozpaczą.

Całe towarzystwo wybuchnęło śmiechem na to przypuszczenie, tak mało licujące z rumianą, okrągłą buzią mówiącej.

Hałaśliwie zasiedli do stołu.

Hanka z uniesieniem radości witała jak dawnych znajomych talerze w kwiatki, masielniczkę wyobrażającą kokoszkę i różne inne drobiazgi, nic na pozór nie znaczące, żywo jednak przypominające jej dom babci, gdzie się wraz z siostrą wychowywała. Każdy szczegół w tem gronie serdecznem i ścisłemi związkami krwi, oraz prawdziwej przyjaźni złączonem, stanowił temat do pogadanki, do figlów i śmiechu; nie było tam żadnych kwestyj drażliwych, które, jak owe rafy podwodne, trzeba byłoby omijać, a stanowiące tak często szkopy w stosunkach nawet najbliższych, i sprowadzające kłopotliwe przerwy w rozmowie. Siostry miały sobie tysiące rzeczy do opowiedzenia, Leon zaś musiał na obrusie ułożyć naprędce z zapalek plan mieszkania, aby uplastycznic opowiadanie Hanka. Z powagą już nieudaną zaczął mówić o swej pracy zawodowej przy torze nowo-budującej się kolei, o pracy, do której wziął się z całą energią zdolnego, a świeżo właśnie z pod stempla wypuszczonego w świat inżyniera, po studencku też, z całym zapalem

i wiarą młodości traktował wzięte na siebie obowiązki, nie stawiając jeszcze na pierwszym planie własnych korzyści i dobrobytu.

Gdy mówił o rozległych projektach, które zamyslał z czasem w czyn wprowadzić, oczy mu błyszczały, a lekki rumieniec twarz zabarwił. Pani Anna patrzyła na niego jak w tęczę, a ścisnąc mocno rękę siostry obok niej siedzącej, z pełnym dumy i zachwytu wyrazem szeptała jej na ucho:

— Ach Lolciu moja! Gdybyś ty wiedziała, jaki on rozumny! Jakie on ma genialne pomysły! Moja złota, czy ja warta jestem takiego męża!...

Ale pełne miłości spojrzenie Leona, jakie zatrzymał na niej, dosłyszawszy ostatnie jej słowa, mówiło jasno, że warta i bardzo warta!... Ona to bowiem była mu bodźcem do życia, do pracy; przedtem był to znany szalawila, człowiek niezmiernych zdolności, trwoniący jednak daleko więcej czasu na wesołe hulanki, niż na systematyczną pracę.

I gdyby był nie spotkał na swej drodze tego oto „pyszatego dyabelka“, czy też swej „czarnej perełki“, jak zwykł nazywać Hankę w chwilach dobrego humoru, byłby może zmarnował swe zdolności, teraz zaś świetna karyera otwierała się przed nim, a zawdzięczał ją jedynie swej energii i wytrwałości, której główną pobudką było głębokie do żony przywiązanie.

Po czole pana Ziuzia przemknęła za ledwie dostrzegalna chmurka, gdy młody inżynier szeroko opowiadał o swych świetnych na przyszłość planach.

A on, mając na całą wędrówkę życia za ledwie skromną posadę urzędnika z nader skąpym uposażeniem, czyż nawet mógł kiedykolwiek zamarzyć o dostarczeniu swej najmilszej Lolusi tych wszystkich dostatków, rozrywek, zabaw, podróży, przyjemności, o jakich Leon, ufny w swą świetną przyszłość, opowiadał z zapalem!... Spojrzał więc ukradkiem na żonę, chcąc się przekonać, jakie też to opowiadanie Leona wywiera na nią wrażenie?

Lola jednak zanadto dobrze znała męża i umiała czytać jak w otwartej księdze każdą myśl jego, to też od razu odgadła troskę, odbijającą się w tych jasnych na nią zwróconych oczach. Opanowała ją rzewność wielka i chęć niepomamowana okazania mu natychmiast, że się myli, o! i jak bardzo się myli, jeżeli choć na chwilę przypuszcza, że ona komukolwiek na świecie czegoś jeszcze zazdrościć może. Nie mogąc zapamiętać nad unoszącym ją wrażeniem chwili, zerwała się nagle i zarzuciwszy mu rączki na szyję, zawołała wrzuszona:

— O mój Ziuziutku! Nie bój się! Niech tam sobie Leon przeprowadza nowe linie kolei choćby nawet przez środkową Afrykę! Nam tak dobrze jest tutaj, że nie zamieniłabym się z nikim, choćby na najświetniejszą dolę! Nieprawdaż, mój Ziuziu, że nam ogromnie dobrze jest razem?...

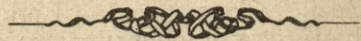
Czyż potrzebuję dodawać, że pan Józef równie gorącym, a może gorętszym jeszcze uściskiem odpowiedział na ten wybuch uczucia miłutkiej swej pieszczotki.

Przyniesiono butelkę wina, toasty częste ożywiały coraz więcej malutkie grono. Gdy powstano od stołu, pani Anna zagrała jakąś skoczną poleczkę, a Leon porwawszy Lolę i przetańczywszy z nią ochoczo kilka turów, serdecznie ucałował drobne rączki swej tancerki, tak jak wtedy, trzy lata temu, gdy mu te same paluszki druchny ślubny bukiet do piersi przypinały...

Są pesymiści, którzy dowodzą, że szczęście jest mrzonką, chorobliwą chimera, że jest niedo-

stępem dla przeciętnego śmiertelnika, że szukać go — napróżno na ziemi; i dużo, dużo tym podobnych bredni opowiadają oni ludziom, chcącym słuchać ich jeremiad. Pragnąłbym bardzo, aby dla przekonania tych pesymistów o mylności zdania, jakaś niewidzialna siła przeniosła ich na chwilę do zacisznego saloniku państwa Ziuziostwa i pozwoliła w tej atmosferze szczerzej miłości i wesela, rozgrzać zaskrzepłe serca, a jestem pewien, że rozejrzawszy się trochę, może z początku z niedowierzaniem, lecz z uśmiechem zadowolenia musieliby zawołać w końcu:

— No, proszę!... Więc doprawdy są jednak prawdziwie szczęśliwi na świecie!...



Myśli J. Słowackiego.*)

Poświęć się wielkiej sprawie, a urośniesz w wy-
padkami.

Cierń co mi zrani rękę, nikogo nie zrani.

Sława to piękna rzecz, warto na nią pracować.

Od wstydu aż do grobu widzę mały przedział.

Zadnego ziarna ludziom nie wysieją śmiechy.

Słowa dziecka — to staremu kwiaty.

Póki jesteśmy młodzi, wszystko jest przed nami.

Czas wszystko wyświeci — czas matematyk.

Nigdy oddechu w jednej nie utracić burzy.

Wiara w nieśmiertelność ducha i sprawiedliwość Bożą jest nowym darem Stwórcy nam udzielonym. Ta wiara tylko pozwala spokojnie śmierć przyjąć.

Gdziekolwiek ostatnia godzina cię zastanie, czy na wysokim urzędzie, czy w skromnym wiejskim domku, czy we własnym dworze, przyjmiesz wolę Bożą spokojnie i z godnością, jak nieśmiertelnemu duchowi przystoi.

*) „Złote myśli“ Juliusza Słowackiego z przedmową Szczęsnej wyszły w r. 1884 we Lwowie i już są wyczerpane. Nowe wydanie wyjdzie w roku bieżącym.

Do dzisiejszego numeru „Bluszczu“ dołącza się: ark. 13-ty powieści, p. t. *Adolf Ribbing*, przez M. E. Coleridge. Przekład z angielskiego Z. S. Tom II-gi. — *Wielka pani*. Obrazek, przez G. Jerlicza. — *Pierwszy występ na balu*. Nowella, przez Podlasiąnkę.

Treść: Juliusz Słowacki. W 50-tą rocznicę śmierci, przez Szczęsna. — Juliusz Słowacki. Smutno mi, Boże! — Ostatni list J. Słowackiego. — Piotr Chmielowski. Nasza krytyka literacka w wieku XIX-ym. VI. — Kazimierz Gliński. Krzywda. Powieść (dalszy ciąg). — Dusza dziecka, przez Maryę S. — Państwo Ziuziowie, skreślił Jerzy Orwicz. — Myśli J. Słowackiego.

Dodatek obejmuje: *Adolf Ribbing*, powieść, przez M. E. Coleridge. Przekład z angielskiego Z. S. arkusz 13-ty. Tom II-gi. — *Wielka pani*. Obrazek, przez G. Jerlicza. — *Pierwszy występ na balu*. Nowella, przez Podlasiąnkę. — Przegląd mód. 16 wzorów i robót z opisem. — Sekreta gospodarskie. — Dyspozycya obiadu.

Warszawa. — W Drukarni i Litografii Tow. S. Orgelbranda Synów, Krakow. — Przedmieście № 66. Redaktor odpowiedzialny Michał Glücksberg.

Дозволено Цензурою. — Варшава, 7 Апрель 1899 г.

KORESPONDENCYA PARYZKA.

Przegląd Mód.

Paryż, d. 15 Kwietnia 1899 r.

Prześliczna pogoda, roje ludzi na ulicach, pełną piersią wdychamy pierwsze powiewy wiosny. Wiosny, którą piękne mieszkanki nadsekwajskiej stolicy witają zawsze z upragnieniem, jako zwiastunkę nowej szaty natury i mody.

Oryginalność tegorocznej mody nakazuje, aby przy wyborze fasonu sukni koniecznie kierować się zasadą, że nie każdy fason dla wszystkich jednakowo jest odpowiedni.

Gładki stanik, używany dziś do kostyumów z sukna, covert-coat, lub kamgarnu, dla figur nazbyt szczupłych nie bardzo korzystnie się przedstawia. Przez dodanie tak zwanego „plastron idéal,” wykończonego na cienkich fiszbinach, nadać można stanikowi pewną wypukłość, nie zmieniając ogólnego charakteru ubrania.

Wielkie uznanie w dzisiejszej modzie zdobyła sobie tunika. Spotykamy ją w wielu odmianach, nisko schodzącą w ząb z przodu i z tyłu, okrągłą, wokoło równą, rozcinaną na bokach, lub z boków bardzo krótką, wycinaną w ostre, lub okrągłe zęby, a przytem, prawie zawsze, bardzo obcisłą w górze, często jak spódnica, zapiętą z tyłu na drobne guziczki.

Stale jeszcze utrzymujące się w modzie, kattaniki, bolero, przeważnie krótkie, lecz noszone są także, szczególnie przez starsze damy, trochę przechodzące za stan i zakończone małą baskiną. Do ubrań strojnych, bolera, bywają robione z aksamitu, lub jedwabnej materyi, w odpowiednim do tualety kolorze, wyszywane sutaszem, pailletkami, lub całe przykryte haftem, albo koronką.

Rękawy wąskie zapanowały już na dobre i przybierane bywają w rozmaity sposób. Poprzeczne zakładki przy ramieniu są jednym z najdystyngowańszych przybrań rękawów do wełnianych sukien. Rękawy nisko schodzące na rękę, podszywane są zazwyczaj kolorową, jedwabną podszewką. Robią się też rękawy także z małym odwinięciem przy rękę, które zastępuje mankiet.

Staniki powoli usuwają bluzki. Nawet do fularowych i lekkich sukien, moda zapowiada staniki obcisłe, ozdobione wyłogami i sutem przybraniem, z koronki, plisowanej gazy, tiulu i t. p.

Malowane kwiaty na sukniach, wprowadzone w tym roku na bale, moda stosuje obecnie do sukien letnich. Gładka forma spódnicy, albo też forma princesse, bardzo się ku temu nadają, ponieważ malowane kwiaty nie giną w fałdach.

Paski, najbardziej używane są z materyału sukni, skórzane noszone są tylko do sukien bardzo skromnych. Przy obecnym smaku, który skłania się do zachowywania charakteru jakiegoś dawniejszego stylu, klamery do pasków ogromną przedstawiają różnorodność.

Wysokie, stojące kołnierze, podwiązuje się obecnie kolorową krawatką, często zakończoną frendzlą, lub też kokardą w kształcie dużego motyla. Krawaty przedstawiają nieprzebrane bogactwo fasonów, kolorów i przybrań.

W dziedzinie kapeluszy, toczki i kapelusze okrągłe, z prostymi rondami, do sukien spacerowych szczególnie, są najbardziej noszone. Kapelusze wiązane, używane są tylko przez osoby starsze. Przybranie okrągłych kapeluszy najczęściej stanowią kwiaty. Z tych, jako najmodniejsze, a zarazem najpiękniejsze do przybrania kapelusze są: zawsze na wiosnę noszone fiołki, bez, maki, róże i lewkonje. Często zamiast kwiatów używane są same liście w kilku odcieniach i przyznać trzeba, że te ślicznie wyglądają. Kapelusze o dużych rondach, fantazyjnie bywają podpięte. Moda zapowiada, że runda podszywane będą aksamitem, co na lato bynajmniej nie jest praktycznym.

Z okrywek letnich, moda przyniosła bardzo piękne, tiulowe, naszyte pailletkami, wykończone na kolorowej podszewce, w formie krótkich bardzo pelerynek, z końcami szalowymi z przodu. Przybranie z falban plisowanych, riusz, tiulu, gazy, koronki etc., czyni takie pelerynki nader strojnymi. Kołnierze Médicis, do letnich okryć zmniejszone, wyszyte są koronką, bufkami, czasem plisowaną falbaną z gazy lub taffetas, która w kształcie żaboty wypelnia przód okrywki. Riusze wyszły już nieco z mody, są one obecnie głównym przybraniem halek, które dochodzą do bajecznego zbytku. Krają się one jak spódnice wierzchnie, bardzo wąskie w górze, a falbany zastosowane też do powierzchni ich z przodu są owiele niższe, aniżeli z tyłu.

Jednak kaprys najnowszej mody usuwa nawet wszelkie spódnice, noszone pod suknią. Zamiast tych, suknią jest bardzo pięknie podszyta i garniro-

wana talbankami i koronką. Halki zastąpione są przez szerokie majteczki, spięte przy kolanach.

Przypuszczamy jednak, że, jak nazwalimy, kaprys ten mody, kaprysem pozostanie i jako taki, ani trwałym, ani przyjętym przez ogół nie będzie.

Kostyum podróżny z odmiennym stanikiem.

Rycina Nr 1.

Kostyum ten składa się z gładkiej sukiennej spódnicy w brązowym kolorze i ze stanika z prążkowanego, piaskowego materyału. Stanik, zakończony z tyłu frączkiem, mały, wykładany kołnierzyk i długie, wąskie wyłogi wyszyte są rypsem jedwabnym, koloru spódnicy. Okrągły kapelusz z fantazyjnej brązowej słomy, przybrany jest: jasną, piaskową gazą, brązowymi piórkami i świecą klamrą. Pod rondem znajduje się pęk różowych hyacyntów.

Wcięty płaszcz podróżny.

Rycina Nr 2. (Krój pierwsza str. tabl. Nr I, fig. 1—7.)

Najładniej i najdystyngowanej wygląda płaszcz, wykonany z angielskiego, piaskowego, ostrego materyału. Jedyne przybranie stanowią: duże, pięknie dobrane, perłowe guziki, oraz stebnowka. Po bokach przystebnowane są kieszonki, zapięte na takie same, jak przód guziki. Stebnówka wykończy dół płaszcza dookoła, brzegi przypiętego na wierzchu przodu, rękawy przy ramieniu i przy rękę, oraz pokrywa kołnierzyk. Płaszcz cały podszyty jest jedwabną w kraty podszewką.

Kapelusik dla dziewczynki od 3—4 lat.

Rycina Nr 3.

Płaska główka, otoczona jest 5 ctm. szerokim prostym rondem z czerwonej słomki, pokrytem falbaną z białej, plisowanej gazy, oszytą przy brzegu czerwona atlasową wstążeczką. Wstążeczka rozciąga plisowaną falbanę i tworzy duże karby. Prócz tego główkę opasuje biała,



Nr 1. Ubranie podróżne z odmiennym stanikiem.

Nr 2. Płaszcz podróżny wcięty. (Krój pierw. str. tabl. Nr I, fig. 1—7.)

atlasowa wstążka, związana z przodu na sutą kokardę. Druga kokarda znajduje się także z samego przodu pod plisowaną falbaną.

Płaszczyk z pikii, oraz kapelusz dla dziewczynki od 1—2 lat.

Rycina Nr 4. (Krój odwr. str. tabl. Nr XIII, fig. 104—110).

Płaszczyk z przodu i z tyłu ułożony w kontra-fałdy, wszyty jest w gładki karczek, przykryty w zupełności dużym kołnierzem, oszyty falbaną z haftu i 3 razy wązkim, haftowanym szlaczkiem. Rękawy przybrane są małą patką, przypiętą na perłowy guzik. Kapelusik, oszyty wokół lekko ufaldowanej główki (skrajanej podług fig. 110), falbaną 175 ctm. długą, 10 ctm. szeroką, a tworzącą fantazyjne rondo, przybrany jest kokardą z batystu i związany na batystowe bridy.

Suknia dla dziewczynki od 10—11 lat.

Rycina Nr 5. (Krój odwr. str. tabl. Nr XII, fig. 96—103).

Przybranie ładnej tej z granatowego szewiotu sukienki, stanowią: biała, wełniana tasiemeczka, oraz karczek z białego kaszmiru, ułożony w 2 ctm. szer. zakładki, krzyżujące się na przodzie. Z przodu wyrzucana, z tyłu zapięta i gładko obciągnięta bluzka, wokół karczka oszyta jest podwójną, okrągłą krajaną falbaną, tak samo jak spódniczka i rękawy, naszyta kilka razy białą tasiemeczką. Pasek z tegoż, co sukienka materiału, naszyty jest również tasiemeczką.

Ubranie z plisowaną spódnicą, dla młodej osoby.

Rycina Nr 6.

Wdzięczna ta tulaeta z różowego, wełnianego muślinu, składa się z powłóczyściej spódnicy plisowanej „à soleil” i z gładkiego stanika, przybranego



Nr 4. Płaszczyk pikowy i kapelusik dla dziewczynki od 1—2 lat. (Krój odwr. str. tablicy Nr XIII, fig. 104—110).

z przodu kamizelką z białego batystu, ułożonego w krzyżujące się fałdy. Przody stanika przy kamizelce, naszyte są gipiurowym szlakiem, przeciagającym się nieco na spódnicy przy szwach przednich i okalającym spódnice przy brzegu, prócz przodu. Stanik zakończony jest w górze dużym, okrągłym kołnierzem z batystu, haftowanym wokół różowym jedwabiem i wszytym w drugi kołnierzyk wysoki, stojący. Gładkie rękawy do łokcia, zakończą falbaneczką, odpowiednią do kołnierzyka. Kapelusik z podniesieniem do okola rondem, podszytym marszczoną gazą, przybrany jest gazą białą i różową, oraz aksamitnymi, czarnymi kokardami. Parasolka z marszczoną, różowej gazy, oszyta jest haftowaną falbaną.

Ubranie z kaftanikowym stanikiem, dla starszej osoby.

Rycina Nr 7. (Krój pierw. str. tabl. Nr VI, fig. 30—38). Rysunek pleców odwr. str. tabl.

Gustowna tulaeta z fioletowego kaszmiru, przybrana jest łatwą aplikacją z materyi jedwabnej w ciemniejszym odcieniu, oraz koronkową kamizelką. Kamizelkę przytrzymuje szeroki faldowany pasek, z plisowanej takiejże, jak aplikacja materyi, zapięty przy boku. Aplikacja przeciąga się na spódnicy trzy razy, okala kaftanikowy stanik i przybiera rękawy w górze i przy rękę. Może być zastąpiona piękną tasiemką, albo pasmanteryjnym szlaczkiem.

Suknia z wełnianego muślinu, dla pani od 12—13 lat.

Rycina Nr 8. (Krój pierw. str. tabl. Nr VI, fig. 39—51).

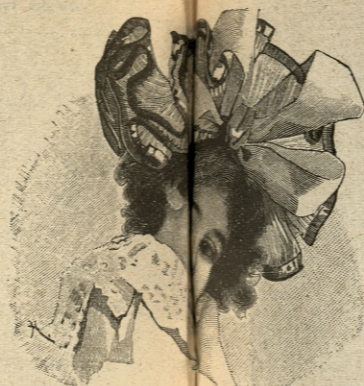
Sukienka z białego, wełnianego muślinu, haftowa-

nego w ponsowe punkty, przybrana jest oszyciem z ponsowego jedwabiu, które zakończy tunika i chusteczkowe wyłogi stanika, tak samo jak tunika wycięte w zęby. Staniczek otwiera się z przodu i z tyłu na podłożeniu z ponsowego jedwabiu, pokrytego białą koronką. Krzyżujące się zaś na przodach i na plecach wyłogi, przytrzymane są ponsową rypsovą wstążką, spiętą z boku na klamrę. Wązkie, gładkie rękawy, przy rękę w zęby wycięte, objęte są ponsową plisą.

Kostium z flaneli w kratę do gry w lawn-tennis.

Rycina Nr 9. Krój odwr. str. tabl. Nr IX, fig. 79—84.

Kostium ten z flaneli białej w pon-



Nr 3. Kapelusik dla dziewczynki od 3—4



Nr 7. Ubranie z kaftanikowym stanikiem, dla osoby starszej. (Kr. pier. str. tab. Nr V, fig. 30—38). Rysunek pleców odwr. str. tabl.

Nr 8. Suknia z wełnianego muślinu dla pani od 12—13 lat. (Krój pierw. strona tablicy Nr VI, fig. 39—51).

Nr 9. Kostium z flaneli w kratę do gry w lawn-tennis. (Krój odwr. str. tablicy Nr IX, fig. 79—84).

Nr 10. Suknia z faldowanym stanikiem i haftowanym kołnierzem do gry w lawn-tennis.

sową kratę, składa się ze spódnicy krótkiej, wokół równej, z wysoką, z przodu znacznie niższą, aniżeli z tyłu, schodzącą falbaną i ze stanika, którego przody w kształcie bolera rozchodzą się na bluzkowej kamizelce z plisowanego batystu. Batystowy kołnier, oszyty plisowaną falbaneczką, zastępuje wyłogi. Kołnier spina kokarda z ponsowej rypsowej wstążki, takąż sama wstążka użyta jest na pasek. Bluzkowy rękaw zakończy mankieik z batystu.

Suknia z faldowanym stanikiem i haftowanym kołnierzem do gry w lawn-tennis.

Rycina Nr 10. Biała, szewiotowa suknia, oszyta



Nr 5. Sukienka dla dziewczynki od 10—11 lat. (Krój odwr. str. tabl. Nr XII, fig. 96—103).

brzegiem kilkoma rzędami plisek, schodzących jedna na drugą, takimiż pliskami oznaczoną na krótką, z przodu otwartą tunikę. Stanik cały ułożony w fałdy, z wyjątkiem przodu, który pozostawiony jest gładki i zapięty na dwa rzędy drobnych, złotych guziczków. Duży, leżący, haftowany kołnier, przywiązany kolorową krawatką, dopełnia ubrania.

Suknia spacerowa z zapiętym, lub otwartym kaftanikiem.

Rycina Nr 11.

Skromne, lecz bardzo eleganckie ubranie z grubego, angielskiego materiału, u dołu spódnicy, przybrane jest dwoma przestębnowanymi pliskami z tegoż materiału, rozchodzącymi się z przodu i przymocowanymi odpowiednio do materiału dobranymi, rogowemi guzikami. Przybranie palto-cikowego stanika stanowią także same pliski, naszyte na przodach w skośnym nieco kierunku. Staniczek, opatrzone wykładanym kołnierzem, pokrytym aksamitem, może być noszony równie dobrze otwarty, jak zapięty, otwiera się zaś na kamizelce z plisowanego batystu. Kamizelka ta, zakończona wysokim, stojącym kołnierzykiem, spiętym na kokardę, ozdobiona jest nadto żabotem z plisowanej, batystowej falbanki. Bardzo zgrabny spacerowy kapelusik, upleciony z popielatej słomy, przybrany jest: srebrno-szarym aksamitem, białą atlasową wstążką i egretą z czaplich piór.

Pas na stół (chemin de table) z kolorowego płótna, ozdobiony aplikacją.

Rycina Nr 12. (Deseń pierwsza strona tabl. fig. 52 i 53).

Pas ten stosowny bardzo ku ozdobie stołów ogrodowych, ma długości półtora metra, szerokości 37 centim. i jest naszyty aplikacją z brudnozielonego, angielskiego płótna. Łatwy desień przenosi się na kalkę, tę zaś przyfastrygowawszy starannie do materiału, usuwa się dopiero wtedy, gdy już figury deseni wszystkie są naszyte. Zamiast płótna użyć można pas sukna, a w takim razie aplikacja także będzie sukienka. Kolory tła i deseni dobierać można dowolnie.

PRZEPISY GOSPODARSKIE.

ENGLISH CAKE

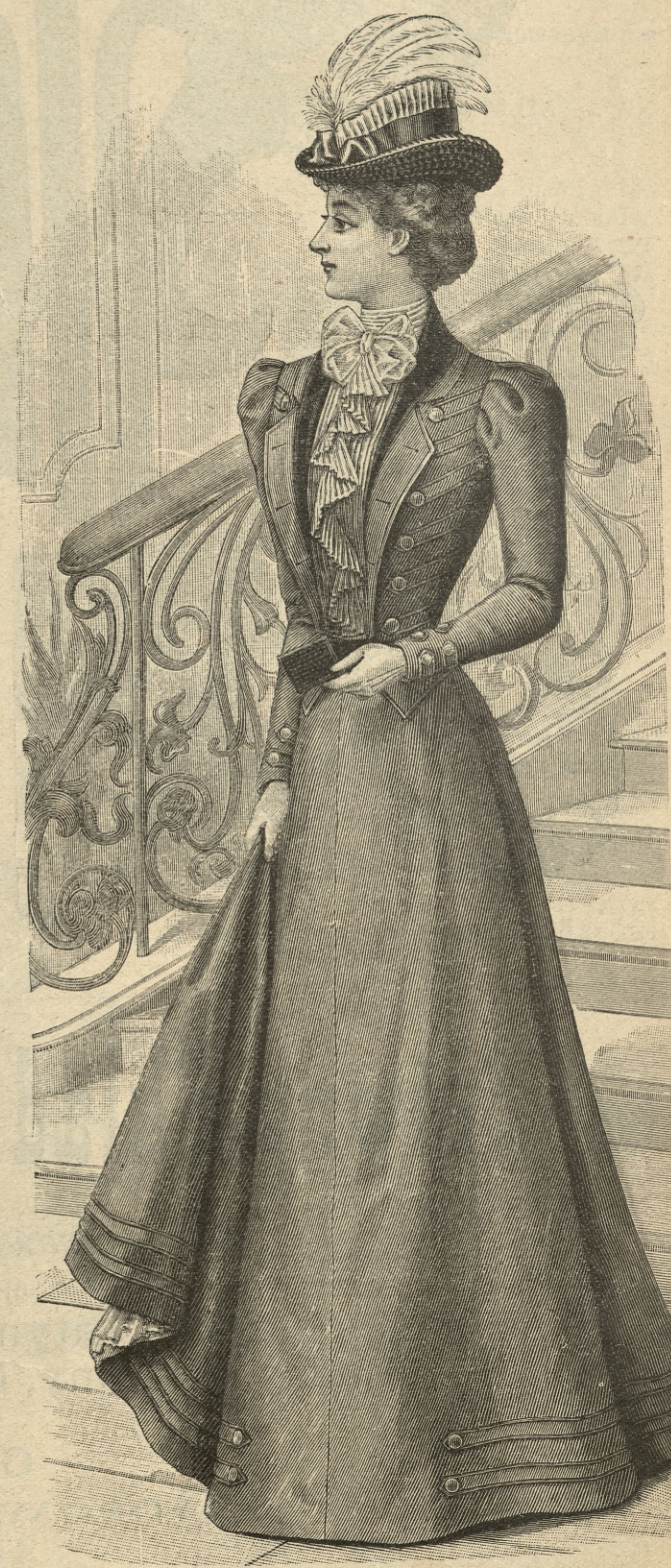
Funt pięknej mąki, 3 całe jaja, sody 1/4 uncji, anyżku za 2 1/2 kop., olejku cytrynowego 3 krople i pół funta sklarowanego, lub rozwierconego na śmietanę w donicy masła, utrzeć z mąką, rozebrać mlekiem, cukrem, jajami całymi (z białkiem, ubijając ich nie trzeba), sodą i anyżkiem, jeżeli jest i olejkiem cytrynowym. Uwierciwszy to wszystko w donicy na gęstawą masę, wlać do formy niezbyt grubej, wysmarowanej masłem i wysypanej grubym cukrem (dla koloru), wstawić w piec, można z chlebem, w piecu stać ma godzinę, półtorej. jeżeli piec wolny. Próbować słomką, jak zwykle.

LIKIER Z ORZECHÓW WŁOSKICH.

Konfiturę z orzecha włoskiego drobno posiekać, nalać spirytusem i trzymać w ciepłym miejscu przez sześć tygodni. Po tym czasie przefiltrować do czystych butelek i zachować do użytku. Po miesiącu powinien już być dobry. Na kwartę spirytusu bierze się kwartę konfitur z syropem.

Obiad na Niedzielę.

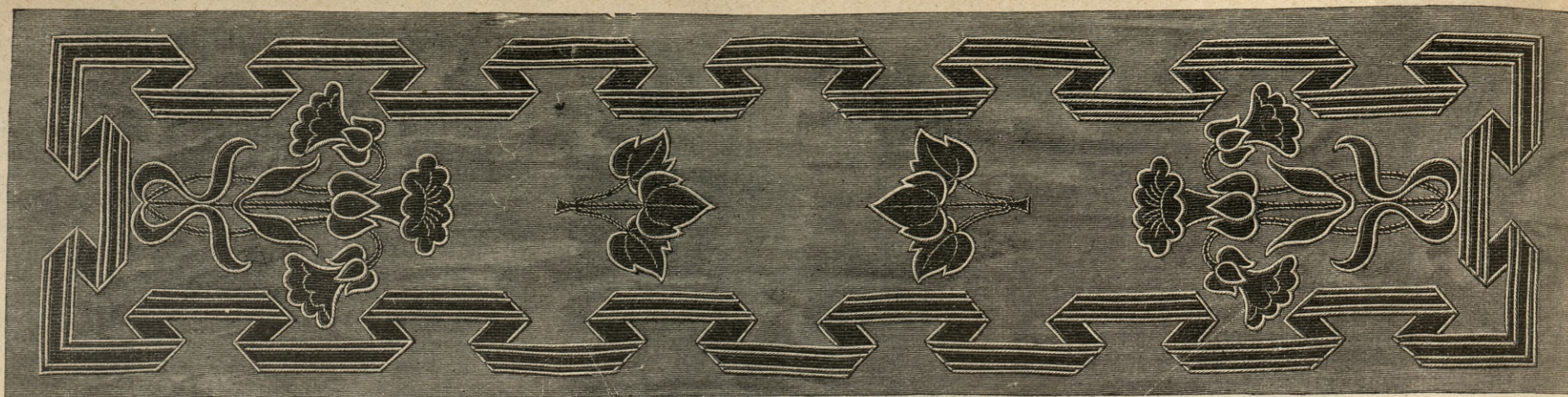
1. Zupa neapolitańska.
2. Paszteciki w muszlach.
3. Pekielsz i purée z grochu.
4. Szparagi.
4. Kapłony z kompotem.
6. Poncz rzymski.



Nr 11. Suknia spacerowa z kaftanikiem otwartym lub zapiętym (do ryc. 10 w Bl. Nr 17).



Nr 6. Ubranie letnie z plisowaną spódnicą, dla młodej osoby.



Nr 12 Pas na stół
(chemin de table)
z kolorowego płótna,
przybrany aplikacją.

(Wzór pierwsza strona
tablicy fig. 52 i 53).



Nr 16 Serweta,
przybrana haftem,
na stolik ogrodowy.

(Deseń odwrotna
strona tablicy fig. 54
i 55).



Nr 14. Część haftu do ryciny Nr 18 w Bl. Nr 17.
(Wielkość naturalna).

Nr 13. Część haftu do serwety
ryciny Nr 16.

Półowa wielkości naturalnej. =

U W A G A.

Do dzisiejszego numeru dołącza
się tablica krojów, objaśniająca
wzory ubiorów i robót w tym
i w przyszłym numerze „Blusz-
czu“ podać się mające.



Nr 15. Część haftu do ryciny Nr 17 w Bl. Nr 17.
(Wielkość naturalna).

Główny Skład Zakładów Żyrardowskich

w Warszawie, Krakowskie-Przedmieście Nr 55,
otrzymał na sezon wiosenny i letni:

Płócienka, Satynki, Batysty, Dryliszki na ubrania męskie, dziecięce i liberyjne,
Zefiry, Kretony, Firanki, Dywany, Portyery, Materiały meblowe.

Gotowa bielizna męska i damska.

Gotowe wyprawy od 100 rubli.

PRÓBY I CENNIKI ODWROTNA POCZTĄ FRANCO.

Pończochy
i
skarpetki
czarne
i fantazyjne.